

PRZEDPŁATA w Petersburgu rocz. rs. 10, półrocz. rs. 5, kwart. rs. 2 kop. 50. Na prowin. w Ga. i Król. orsz. rocz. rs. 12, półrocz. rs. 6, kwart. rs. 3, mies. rs. 1. Opłata na str. 1-ej okładki po k. 30, na pozostałych po k. 15 od wiersz. Reklamy (Doniesienia w tekście) po 40 kop. Cena pojedynczy. Nr-ów bez dod. pow. kop. 15. Za dołączenie ogłoszenia, prospektu i t.d., jednorazowo rs. 30, oprócz opłaty poczt. (1/4 kop. od kawałków pras. do Petersburga.)

# KRAJ

BIURO Redakcji i Administracji—ul. 2-a, 2-4, 25, m. 23. Redaktor lub jego zastępca przyjmują interesantów we wtorki, czwartki i soboty od godziny 4—5 popołudniu. Adres dla listów i telegramów: «Petersburg: «Kraj». Ogłoszenia przyjmują: w Petersburgu: Administracja «Kraja», w Warszawie: Kantor «Kraja», przy ulicy Caystej 20 2. Zagraniczne agencje: we Lwowie, Krakowie i Poznaniu w znaczących kalendarjach.

Pismo polityczne, społeczne, ekonomiczne i literackie  
POD REDAKCJĄ ERAZMA PILTZA.

Petersburg, d. 25 (6 stycznia 1892 r.)  
grudnia 1891 roku.

Z powodu świąt Bożego Narodzenia numer wychodzi o trzy dni wcześniej i to jest powodem, że niektóre działy nie są dostatecznie rozwinięte.

## Od Administracji.

Mamy zaszczyt uprzedzić, że z powodu strat, jakie ponieśliśmy wskutek nieprzerwywania wysyłki pisma tym z naszych prenumeratorów, którzy przedpłaty we właściwym terminie nie wnieśli, widzimy się zmuszeni odstąpić od systemu w ciągu ostatnich lat dwu praktykowanego, i nadal przerywać będziemy wysyłkę pisma z chwilą upłynięcia terminu prenumeraty. Pragnących uniknąć przerwy w odbiorze pisma, prosimy o wczesne nadsyłanie prenumeraty.

## Z PODDASZA.

(BAŚN WIGILJNA).

Mam ja w mieszkanku mojem prawdziwą osobliwość: żywego djablaka z rozkami. Czasem jest on tak duży, jak lalka, którą bawia się dzieci, a czasem tak mały, że schowa się w łupinę laskowego orzecha. A zwinny, a skoczny, a sprytny i dowcipny! Wielka to pociecha moja w tem życiu smutnem, odoobnionem, jakie prowadzę. Ledwie wieczorem siadę w fotelu przed biurkiem, wsparłszy skroń na dłoni w niewesołej zadumie — wnet mój Chochlik hyc mi na ramię i dalej swawolić, pocieszać mnie, rozweselać! A jakie on umie opowiadać baśnie śliczne, fantastyczne! Ma jednak pewną wadę: jest trochę romantycznym, lubi snuć powieści na temat nieszczęśliwej miłości Goplany... Kiedyś mówię mu:

— Chochło, luby djablaku, nie bądź sentymentalnym mazgajem... Dość już powieści o rozkach płomiennych, mdlejących w objęciach powoju, o duszach trawionych wieczną tęsknotą miłości, o sercach strzaskanych, nienasyconych nigdy i głodnych! Dość już! Niech wiedną róże, niech wysycha puchar rozkoszy i bankrutuje Afrodyta — ty mi o tem nie mów! Baw się, jak chcesz: pluskaj się w mym kałamarzu, haftuj sobie wzorzyste kwiaty na szybach mojego okna, lub tańcz z lekkiem sylfami na smudze księżycowego światła—tylko nie uderzaj w tę zbyt już ograną i romantyczną strunę...

— Nie chcesz—odręcze, na to z dziecinny grymasem—może wziąłbyś kropidło i wygnał biednego Chochłę na mróz, śnieg, zawieruchę? Nie chcesz? Cóż mam począć? Więc siadę sobie na tej drżącej

smudze księżycowej u twojego okna, ty przyćmij światło lampy, oprzyj skroń na poduszce i słuchaj mnie, słuchaj:

...Żył raz pewien biedak na tym najweselszym ze światów... Znałem go dobrze, miałem nieszczęście służyć u niego. Był artysta-malarzem, borykał się strasznie z nędzą, nie dojadł, nie dospał, sławy nie miał dotąd, ale za to nadzieję, że pozyska ją kiedyś, olbrzymią. To jedno utrzymywało go przy życiu. Mieszkał wysoko, aż pod niebios błękitami, na poddaszu, w towarzystwie gołębi i wróbli. Umeblowanie izdebki stanowiły, jak to mówią, cztery kąty a piec piąty — piec w dodatku najczęściej zimny. Zresztą, było tam jeszcze jakieś łóżko, stolik zarzucony farbami, pędzlami i szkicami, staluga do malowania, dzbanek z wodą, odłam torsu kobiecego, przypruszony pyłem odwiecznym, w kącie lira ukraińskiego dziada, z potarganymi strunami, i zwiędły bukiet fiołków...

Daremniem błagał królową sylfów, aby mnie nie posyłała na służbę do malarza. Uparła się, wiedźma przebrzydła—musiałem więc iść, rad nie rad... Rozkoszne życie: siedzieć w dziurze za piecem, chuchać w zziębnięte palce i patrzeć na człowieka, który karmi się przeważnie... uczuciami. Przytem — pracuj mu, czyść dziurawe buty i zabazgraną paletę, myj wciąż pędzle, zeskrobuj szpachlą farby z płótna... A za to wszystko ledwie kiedyniekiedy pociągnij sobie hausta z butelki. Ilem tam wycierpiał—wiadomo to tylko papie Belzebubowi, któremu się skarżyłem. Schudłem, zmizerniałem, straciłem fantazję...

Zima tego roku była nadzwyczaj ostrą, mroźną, marł naród z głodu i chłodu na ulicach, a niebo pogodne, jasne, gwiazdziste, z uśmiechem spokoju bogów olimpijskich, spoglądało na nędzę ludzką... Nadeszła wigilja Bożego Narodzenia, niemile dla nas, djablików, święto. Zimno było straszliwe, gonty na dachach domów przedmiejskich trzaskały od mrozu, chrupał śnieg pod stopami i połyskał szyderczo tysiącem brylantów. W izdebce naszej trzeci już dzień nie palono. Siedziałem skurczony i przemarzły za zimnym, jak lód, piecem, poglądając jednym ślepkim na mojego pana. Zrozpaczony, zgnębiony, drząc febrycznie od zimna, chodził po izdebce wszere i wzdłuż, gubiąc się w kombinacjach nadaremnie, zkadby wydobyć pieniędzy, przy dzisiejszej wigilji, na trochę opału i kawałek chleba. Gdybyż co sprzedać — ale co? niech mu kto powie! Te jakieś nędzne w izdebce graty nie jego, nawet staluga wypożyczona, a z obrazkami daremnie obiegł wszystkie sklepy—nikt kupić nie chciał. Bez stosunków, bez znajomych, przyjaciół, na obczyźnie — cóż on pocznie? Do kogo się zwróci? Gadajcie!

Jak szalony, biegł po izdebce z kąta w kąt. Żadnego punktu wyjścia! Nareszcie przystanął i widać zdecydował się na jakąś myśl rozpaczliwą, bo nagle, westchawszy głęboko, ruchem szybkim, zrezygnowanym, rozerwał na piersiach koszulę... Oczom moim ukazał się zawieszony tam, na przepotniałej wstążeczce, ma-

łańki złoty krzyżyk. Pan mój wziął w rękę ubogi ten klejnocik i wpatrywał się weń długo z rozrzewnieniem... Wszak to jedyna pamiątka po jego zmarłej matce, którą tak kochał! Pamięta dobrze, jak błogosławił go przed zgonem, kładła mu ten krzyżyk na szyję. Odtąd zawsze spoczywał na jego piersi. I dzisiaj tę drogą, jedyną pamiątkę, na której przysechł ostatni pocałunek umierającej, oddać w obce, plugawe ręce—zastawić lub sprzedać, aby za to kupić chleba!

Wlepiłem wzrok w mojego pana, śledząc co uczyni. Okropna walka toczyła się na jego twarzy, walka uczuć najszlachetniejszych z tym nieublaganym tyranem, którym jest głód niezaspokojony. Serce mi pękało z bólu. Pan mój stał ciągle na miejscu, jak skamieniały. Łzy mu nabiegły do oczu, łzy wielkie, gorzkie, i padały, jedna za drugą, na ubogi klejnocik. Plakał... Nagle szarpnął silnie przepotniałą wstążeczką, przycisnął gorąco do ust oderwany od niej krzyżyk — i wybiegł z poddasza szybko, jak zbrodzień po dokonanej czynie...

Zrozumiałem wszystko...

O świecie! handlarzu bezwstydnym, ty wszystko nabywasz i frymarczysz wszystkim: krwią i łzami i znojem serdecznym... Na ołtarzach twoich dotąd jeszcze składa ludzkość ofiary krwawe, chociaż z pośród ciemnych uroczysk znikły od dawna bóstwa pogańskie. Walka ciągła, straszna, o to zwierzęce jutro, o byt... Dla ciebie nie masz nic świętego! Kielich ofiarne przetapiasz na złoto... O świecie!...

Niech cię nie dziwi, mój przyjacielu, pewien nastrój w tej baśni, ale wyznać ci muszę na ucho, że jestem postępowym djablikiem, czytałem nawet Prudhomme'a i gardzę przesadami piekła. Swoją drogą filozofja nie przeszkadza mi zamiatać izbę lub czyścić buty filistrom... Umiem także palić w piecu. Rozumiesz mnie? Wkrótce też, po scenie z krzyżkiem—sapiąc i klnąc niegodziwe schody, zjawia się na poddaszu opasła przekupka z olbrzymim koszem węgla i drzewa na plecach. Aż z radości klasnąłem w ręce na ten widok. Nakoniec będziemy mieć ciepło! Zabrałem się żywo do palenia. Wnet z trzaskiem czerwonych iskerek wyskoczył z ogniska braciszek mój Skierka i kolega Puk z pod podłogi...

— Muszę ja—myślę sobie—porządnie mojemu panu napalić w piecu przy dzisiejszej wigilji. Niechże choć raz spotnieje, jak żyd w łaźni przed szabasem! Ty zaś, luby Skierko, weź z sobą Puka i opatrzcie wszystkie szpary we drzwiach i oknie, aby ciepło nie uchodziło...

Zabrali się chłopcy do roboty, ja zaś palę i palę, jakby samemu panu Belzebubowi pod kotłem na kąpiel; piec ledwie nie pęknie od gorąca, a ja wciąż dorzucam węgla i śmiejąc się z radości, pykam sobie przed ogniskiem z krótkiej fajeczki. Potem: szast, hrast! zatkałem piec, pełen żaru. Skierka sprzeczał się, że zawczasie—ale co on wie: przecież byłem jenerałnym palaczem na kolei żelaznej!...

Tymczasem nadchodzi z miasta mój pan biedny. Na pierwszy rzut oka spostrzegłem, że powrócił nietrzeźwy—co mu się nigdy nie zdarzało. Zataczał się, wzrok palił mu się gorączkowo, na twarzy miał jakieś chorobliwe wypieki. Było w nim coś nienaturalnego, dziwnego, przebijała się w całej jego postaci jakaś straszna, ukryta bolesć. Na pozór zdawał się być w humorze, gadał wiele, jak nigdy, i śmiał się ciągle, ale tym śmiechem nie-szczerym, okropnym, nerwowym, który wskazywał, że po za tą wesołością kryło się serce zbolące.

— Jedz i pij, Chochlo!—zapraszał, ukazując na przyniesiony prowiant—jest pół bochna chleba, jest ser, masło, śledź, jest nawet tytoń i butelka niepróżna! Pij! U mnie dziś wigilja Bożego Narodzenia, wielki bal, lukullusowa biesiada... Brak tylko słowicznych jęczyczków! Cha-cha! Pij! Chrystus się nam narodził, a ja go sprzedałem! Cha-cha! Jedz i pij!—powtarzał—niech ci smakuje... Sprzedałem pocałunek matki! Pij!—wołał, śmiejąc się spazmatycznie—ja sam jeść i pić będę!

Przysiadł do stołu, pociągnął z butelki jak smok, ale jeść nie mógł. Wstrętem przejmował go cały ten prowiant, nabyty kosztem tak drogiej pamiątki... Odsunął od siebie jadło z odrazą i chmurnie w dół spoglądał. Czuł się dziwnie znużonym, wycieńczonym. Skarżył się na szum wuszech, zawrót, odurzenie... Głowa mu ciężka na karku, wszystkie członki omdlewały... Nakoniec zwiła mu bezwładnie na pierśsiach, przymknęły się powieki. Jeszcze raz zamruczał pod nosem: «Jedz i pij!» zaśmiał się dziko i usnął...

Poddasze cichość zaległa grobowa, tylko szczur chrobotał gdzieś między papierami. Lampa kopcać, ćmiła się posepnie. Cała izdebka napelniała się jakimś dziwnym, niebieskawym dymem, który stawał się coraz gęstszym i gęstszym... Chwilami mogłeś sądzić, że znajdujesz się w obłokach, tak było błękitnie dokoła, a cicho i sennie. W końcu zgasła lampa, izdebka utonęła w mroku, a ja usnąłem znużony w siatce pajęczej, którą sobie na tę noc od jej właściciela wypożyczyłem...

W trzy dni potem pogrzebano mojego pana. Zabiłem go nieszczęsny—zagorzał. Obca ziemia dała mu przytułek. Odtąd, co każdą wiosnę, sadzę tam niezabudki

i rozczesuje długie warkocze brzozie, plączącej nad jego samotną mogiłą...

Jan Zengteller.

## Kartki ze Szwajcarii.

(Dokończenie).

Ale stary Kuntz nie słyszy.

Lewa jego powieka drży coraz silniej, spojrzenie stępuje. Widzi jak syn oddala się i jak we drzwiach znika. W chwilę potem widzi go jeszcze przez otwarte okno i słyszy szczebiot dziecka: Ida... Przeszli.

Stary opuszcza głowę i trzęsie nią w milczeniu. Potem ściska powieki z całej, z całej siły. Coś mu żre oczy; słonego coś, gorzkiego. Żre i pali...

— Słyszysz stary? — powtarza Tödi-Mayer głośniej. Pożyczył ci kto joppy, czy własna?

Usłyszał wreszcie. Miesza się, spogląda po sobie, zaczyna szybko mrugać czerwonymi oczyma i rzuca ukradkiem spojrzenia w kąt, gdzie woźny stoi.

Tödi-Mayer uderza pięścią w balaski.

— Ależ to oszukaństwo! — wybucha gniewnie!

— Tak! Tak!—odzywa się kilka naraz głosów.

Szmer rośnie w sali; oburzenie udziela się wszystkim.

— Człowiek ma miłosierdzie — woła Tödi-Mayer, szeroko rozkładając wielkie czerwone ręce—bierze sobie za marny grosz taki ciężar na kark, to chce, żeby interes rzetelnie był zrobiony. To trudno!

— Tak! Tak!—potwierdza więcej jeszcze głosów. Po nad wszystkimi słyhać głos Spenglera. Na twarz pana radcy bucha płomień gniewu.

— Ściągaj kurtę!—krzyczy na staro, a Kuntz Wunderli z pośpiechem rozpinąć ją zaczyna.

Nie idzie to łatwo. Ręce mu się trzęsa, pokurczone palce nie trafiają do guzików odrazu; staremu pomaga woźny, ściągając ze złością rękawy. Jako urzędnik gminy, czuje się on niemal tak samo dotkniętym jak radca.

— Kapuściana głowa! Niedolega!—szepcze przyciszonym i zirytowanym głosem, szarpiąc na przemiany to jeden, to drugi

rękaw nieszczęsnej kurty, po której zdjeciu okazuje się cała wyjątkowa nędza zapadłych piersi i wychudzonych żeber kandydata, ledwie co okrytych srodze łątaną koszulą i szcętami letniej kamizelki.

Stary Wunderli drży silnie, częścią z chłodu, a częścią ze strachu. Wydało się... Co teraz będzie? Wszystko się wydało...

W niezmiernem pomieszaniu podnosi do szyi obie trzęsące się ręce i usiłuje rozplątać misternie przez woźnego zadziergnięty fontaż.

— I chustka nie twoja?—krzyczy Tödi-Mayer, zdjęty ostatnią pasją w swem rozczarowaniu.

— Nie moja—odpowiada ledwie słyszalnym szepcem Kuntz Wunderli.

Woźny wyszarpuje mu ją z ręki.

— Kapuściana... osła... barania głowa!—mówi przez zęby z naciskiem.

Historja z chustką więcej go jeszcze gniewa, niżli historja z kubrakiem. Inicjatorem pożyczki kubraka nie był sam; podsunął ją mimochodem pan radca, zważywszy, iż kandydat był zbyt źle odziany, aby się mógł pokazać w urzędowej części sali.

Ale chustka! Chustka była własnym pomysłem woźnego. Sam ją wiązał, włożył w wiązanie to coś z artystycznych instynktów, coś z własnej duszy. Zdejmo-  
wanie jej nie było zresztą rzeczą konieczną, nikt chustki nie podejrzewał, nikt nie pytał o nią. Rozdrażnienie woźnego jest tak wielkie, iż zmiąwszy ten niebieski bawelniany szmatek w obu rękach, ciska go ze wstrętem pod wieszadło u drzwi stojące. Nie może w tej chwili dać dobitniejszego wyrazu oburzeniu swemu i swej wielkiej wzdardzie.

Ale Kuntz Wunderli stoi tymczasem przed publicznością zawstydzony, zgnębiony, odarty z uroku. Teraz dopiero można się przypatrzeć jego kolanom, tak ku przodowi wygiętym, że cała postać przysiadła się zdaje, teraz można widzieć jego wykręcone, ciężkie stopy i jasno kości-  
ste łokcie. Najzabawniejsze wszakże wrażenie robi szyja staro. Jest ona tak cienka, że zdaje się, biczem przetrzasnąć by ją można. Wogóle czyni ona staro podobnym do oskubanego ptaka; a to tembardziej, że niepodparta sztywnym fontażem głowa, wydaje się, przy tej cienkiej, zwiędłej szyi, niepomiernie wielka i cięż-

## ODCINEK „KRAJU”.

### SONET.

Jako wszechświata cząsteczka myśląca,  
Szukam w nim celu i o celu myślę,  
Bo ten się wiąże z mem pojęciem ściśle,  
Tak jak odczucie światła lub gorąca;

Znam bowiem tylko jedną z form tysiąca  
Natury—w moim odbitej umyśle,  
Sądzą ją z tego, co mi sama przyszło  
I czem o władze dane mi potraça.

Natura wieczna, twórcza, bezcelowa,  
Nie da się zmieścić w ludzkich pojęć ramie:  
Więc wiecznym prawom, co w swem łonie chowa

I konieczności, co nas wszystkich łamie,  
Celowych dążeń narzucamy znamię,  
Na ludzki język tłómacząc jej słowa.

E...ly.

«Dz. Pozn.»

## ZAGADKA ŻYCIA.

Wieczór mglisty, wilgotny. Gęste, śli-  
zkie błoto pod stopami, a z góry nie kro-  
ple spadają, ale mgła ciężka, duszna, prze-  
nikająca na wskrós.

Na ratuszowej wieży wybiła godzina  
dziewiąta. Lwów jest miastem spokojnem.  
O tej porze, w czas taki, już mało prze-  
chodniów. Tylko wazkim trotoarem, pro-  
wadzącym z Krakowskiej ulicy, wzdłuż  
rynku na Halickie, idzie tłum niesfor-  
ny, brudny, krzykliwy...

Latarnie rzucają mdłe światło, które  
tylko zdala odbija się czerwoną luną, w mgłę  
gęstej, niby odbłask dalekiego pożaru...  
Twarzy trudno dostrzedz, czasem tylko  
zaświecą z pod szerokiego kapelusza z wiel-  
kimi piórami, ogniste, zaczepne spojrzenia  
kobiet, idących spieszenie, mówiących gło-  
śno, odpowiadających na brutalne zaczep-  
ki jeszcze brutalniejszym słowem...

Na rogu jednej z krzyżujących się ulic,  
jaskrawe światło rzuca cały szereg lamp

gazowych u wystawy jednego z licznych  
«bazarów wiedeńskich».

Tam największy tłum, najgromadniej-  
sze zbiegowisko, najgłośniejsza rozmowa.

— Kup mi tego pajaca, co nogami do  
góry wyrzuca!

— Daj pieniędzy, a kupię!

— Chi, chi, chi! — zaśmiał się znany  
od lat wielu lwowianom «głupi Jaś»,  
stojący u wystawy zawsze w jednej po-  
zycji i spoglądający z filozoficznym spo-  
kojem na tłum, przesuający się przed  
jego oczyma.

— Chi, chi, chi! jaki on mądry... za  
pieniądze to kupi, a bez pieniędzy —  
ukradnie!...

Srodkiem trotoaru, wśród tłuma, nie  
ustępujący nikomu, spokojny, milczący,  
z fajką krótką w ustach, w wysokim cy-  
lindrze z gwiazdą, w wytartym surducie,  
bogato ozdobionym mnóstwem orderów ko-  
tylionowych, z ubieloną, uróżowaną twa-  
rzą, kroczy poważnie, znany równie do-  
brze «jenerał Przybylski». Wzrokiem za-  
mgłonym spogląda dokoła, uśmiecha się  
łagodnie i od czasu do czasu wita znajo-  
mym:

ka. Opada to na jedną, to na drugą, głęboko zakłęsa jamę obojczyka.

Wesołość teraz wybucha na sali, jedni śmieją się dobrodusznie, drudzy złośliwie, poglądając przytem na Tödi-Mayera. Najlitościwsi kiwają głowami i uśmiechają się zlekka.

— *Ecce homo!* — odzywa się kotlarz Kissling, który ma brata dozorcą w kantonalnej bibliotece i darmo czytuje książki.

Szeroki wybuch śmiechu przyjmuje to porównanie. Większość mniema, iż jest to przymówka do szczytu, wznoszącego się po za Mythenami, dużym i małym, który się *«Ecce Homo»* zowie, w przeciwieństwie do sekatego Pilatusa; w zgromadzeniu są tacy, którzy górę tę widzieli zblizka.

Stary nie ma wprawdzie żadnego podobieństwa do jakiegokolwiek szczytu, ale jest to tem śmieszniejsze, dalibóg, tem śmieszniejsze!

Jeden Tödi-Mayer nie bierze udziału w ogólnej wesołości. Okragłe jego, wypukłe i błyszczące oczy, obiegają postać starego nędzarza, jak gdyby każdą z jego wyschłych i struchlałych kości czyniły odpowiedzialną za tak wielki zawód. Oczywiście temi świdruje go, jak fałszywy szeląg, roztrząsa, jak stary łachman, przenika go do ostatniej żyłki, do resztki tchu w piersiach.

— Cofam słowo! — woła wreszcie. Nie mogę brać tak mało!

— Nie wolno słowa cofać! — rzece z powagą pan radca.

— Jaktó nie wolno? Woźny nie przybił jeszcze.

— Nie przybił! Nie przybił! — potwierdzają głosy z ławy, poczem ucisza się nagle.

Wszyscy czekają, jaki obrót sprawa weźmie. Pan radca jest niekontent. Rzuca on na obecnych chmurne spojrzenia z pod oka, marszczy piękne czoło i ciągnie na dół to jednego, to drugiego wasa.

— W takich łachmanach nie wezmę dziada i za sto osmdziesiąt franków! — woła rezolutnie Tödi-Mayer, czując za sobą zgodę całej sali.

— Jabym nie brał i za dwieście — opiera go kum Spengler.

— Co to dwieście! To i dwieście dziesięć nie byłoby nadto! — dodaje oberzysta z Mainau.

— *Bonjour monsieur!... n'avez-vous pas une cigarette?...*

Nikt nie odpowiada... śmiech, wrzawa, czasem krzyk głośniejszy i tłum płynie dalej niewstrzymaną falą, niespokojny, nerwowy... Czasem — z tego tłumy, wijącego się błotnistym trotoarem jak czarna wstęga, oderwie się para i zniknie w bocznej, ciemnej ulicy...

Tylko «głupi Jaś» stoi zawsze, rozprawiając głośno, w jednakowej pozycji u wystawy bazaru i «jenerał Przybylski» idzie spokojnie, ciągnąc z fajki, która wygasła i uśmiechając się dobrodusznie... Tylko co minut piętnaście zegar ratuszowy wygłasza donośnie kwadranse, dla niejednego z mieszkańców ostatnią chwilę... A tłum zawsze płynie czarną wstęgą po trotoarze błotnistym...

Wydstawszy się z tego tłumy, odechnąłem swobodniej... Idę w górę ku kościołowi Dominikanów, którego wielką kopułę dostrzegam na zachmurzonym tle nieba... Kościół jeszcze otwarty. Po schodkach, widzę, schodzą powolnie, ostrożnie, nabożni... Po nabożeństwie wieczornem spowiedź adwentowa trwała długo, —

Stary Wunderli słucha tego i dusza w nim truchleje. Co to będzie? Co to jeszcze z nim będzie? A to może nikt i wziąć nie zechce? A potem, dlaczego tyle aż chcą brać? Dlaczego aż tyle?...

Wielki niepokój i wielkie zdumienie odbija się w jego pomarszczonej twarzy. Coraz wyżej podnosi brwi siwe, patrząc w ziemię, a głowa coraz szybszym ruchem opada mu to na jedną, to na drugą stronę.

— No, panie Tödi-Mayer! — odzywa się urzędnik pojednawczo. Nie rób pan żartów, i kończmy, moi panowie!

— Dobrze! — woła energicznie ślusarz — wezmę, ale za równe dwieście!

— Co znowu! Co znowu! — odzywa się, tracąc cierpliwość, pan radca. Zkąd gmina może takie sumy płacić? Czy panowie myślicie, że gmina siedzi na złocie? Moi panowie, gmina nie siedzi na złocie. Gmina musi się liczyć z groszem. Gmina ma wydatki, duże wydatki. Miłosierdzie, moi panowie, jest dla niej rzeczą świętą, ale i w miłosierdziu miarę zachować należy.

Jeszcze pan radca nie domówił ostatniej sylaby, kiedy drzwi otwierają się szeroko i wchodzi Probst. Jest to tegi mężczyzna z grubym karkiem i szeroką czerwoną twarzą. Jego brunatny spencer szeroko rozpięty pokazuje pierś potężnie rozrosłą i kołyszący się na niej łańcuszek ze srebrnych ogniwek. Z pod niskiego tłustego czoła świecą małe, bystre oczy; rudawe, kędzierzawe włosy zarastają mu głęboko skronie. Probst idzie śmiało i macha wielkimi rękami, które mu po bokach wiszą zaciśnięte w kulak; miejsca sobie wszakże robić bynajmniej nie potrzebuje, gdyż każdy usuwa się przed nim z pewnym rodzajem respektu. Człowiek jest silny, tegi, ma spojrzenie ponure i zuchwałe. Z takim nie zaczyna najlepiej. Probst dochodzi do balasków, kłania się urzędnikowi i kiwnięciem głowy pozdrowia kilku obecnych.

Pan radca wybaczyć mu zechce: spóźnił się, ale nie winien temu. Ten przekłety parobek, którego po starym Hänzlim wziął, rozchorował mu się jak na złość. Sam dziś mleko rozwozić musiał, a to piekielny kawał, z góry i pod górę.

Pan radca słucha przytakując; pozdrowieni uśmiechają się życzliwie i kręcą głowami.

główne drzwi kościoła zamknięte, ale z bocznych wysuwają się jeszcze ciągle postacie skulone, w ubogiej odzieży — nie wstydzące się modlitwy. Klękają jeszcze na schodach i modlą się...

Do kościoła prowadzi z rynku ulica dość wązka i krótka. Kilka zaledwie kamienic po obu stronach, — ale życie tu wre do późnej nocy. Z jednej strony lewej, — szkoła tańców, a z prawej równie dobrze, jak «głupi Jaś» znana restauracja Fedorowicza i nieustający koncert «kapeli damskiej»...

W szkole tańców, od godziny ósmej wieczór do późna w noc, nędzny, głodny, śpiący grajek wygrywa na rozklepanym fortepianie zawsze jedne i te same kadryle, walce i polki, i zawsze ten sam głos ochryply starego, zgrzybiałego tancmistrza daje się słyszeć:

— Panowie z prawej — panie z lewej!  
— Chi, chi, chi! kiedy mi się nie chce!...

A u Fedorowicza grzmi kapela dobra na i od czasu do czasu z pełnej piersi ozwie się piosenka wesoła, w swej wesołości trywialna, lub jak dla kontrastu

Sam rozwozić musiał?... No, no! Kawał drogi!

Przez otwarte okno slychać głośnie naszczekiwanie psa, którego wszyscy znają; trzy razy dziennie przybywa on z mlekiem, zaprzężony do wózka pełnego wysokich blaszanek. Probst piękną oborę ma. Piękną oborę!

I nagle przejmuje ich uczucie poważania dla tych tegich pięści i grubego karku; Spengler odwraca się od Tödi-Mayera i na Probsta patrzy; ślusarz czuje się już przez samo przybycie mleczarza, jakby na pół pobitym. Patrzy to na jednego, to na drugiego z obecnych niby obojętnie; w rzeczy samej żal mu, że targu nie przybił. A no, da się to widzieć co będzie.

Ale Probst czasu nie traci. Opiera się ściśniętą pięścią o balaski, wyciąga grubą szyję i skubiąc zęto zarastający podbródek, zmruża bure oczy i celuje niemi w starego, jak wylotem fuzji.

Kissling i Dödöli tracą się łokciami.

— Jak ten patrzy! Jak ten bestja patrzy! Toć chwala Bogu, każdy oczy ma, a nikt tak niemi człowieka nie umie nawskroś brać! Ten się zna! No! Już ten się zna!

Tymczasem izba przybrała całkiem inny pozór. Czują wszyscy, że przybił koneser. Twarze się ozywiają, ci co siedzieli na ławie powstają i przystępują bliżej. Chwila zaczyna być naprawdę interesującą. Ale Kuntz Wunderli, na widok Probsta porusza się niespokojnie, nerwowo. Wie on, że Hänzli, tak samo z gminy wzięty, po trzech miesiącach, powiesił się u Probsta na strychu; pamięta, jak Probstowa po nim sprzedawała buty. Pamięta też, jak stary Hänzli obdarte miał od szlej ramiona, i jak mu u Probsta oczy zapadły, a twarz zczerniała i wyschła. Kurczy się stary, głowę w ramiona chowa, przyciska do boków kościaste ramiona, staje się małym, bardzo małym, tak małym, że go i nie bardzo widać chyba. Co prawda, radby się pod ziemię całkiem, całkiem schować. Boi się tchnąć, boi się poruszyć, nawet kolana, z wielkiego natężenia, dygotać mu przestały.

Ale Probst zna się na tem wszystkim dobrze. Liczytuje przecież tych hultajów od sześciu, czy siedmiu lat w gminie. Wie on, że taka starota, to jak pęknięty gar-

bardzo melancholijna — najczęściej niemiec-ka: *O du, mein lieber...*

Tuż zaraz na rogu, przytulona do muru kamienicy, na pół zgarbiona postać... stara żebraczka w łachmanach. Wiąku jej nikt nie zna, ani pochodzenia nie badał. Od lat niepamiętnych stoi w tym zakątku nieznaną nikomu i siebie nieświadoma. Nieświadoma tak bardzo, że nawet o jałmużnę nie prosi. W rękę opieką, czerwoną, bezkształtną, padają grosze miłosiernych ludzi, przyjmowane dziękczynnem, ale niewyraźnem, mruzeniem... Czemu się ta istota żywi, co robi z zebranymi pieniędzmi? Żywi się zapewne skrawkami chleba i resztkami jedzenia, które jej z sąsiedniej kamienicy wynoszą, a pieniądze chowa skrzętnie w zanadrze. Na nocleg przechodzi z rogu kamienicy na schody kościoła i tam skulona, tuląc się w łachmany swoje, zasypia... Zrana, od godziny szóstej jest już na stanowisku i zostaje na niem do późnej nocy, mrużąc ciągle, zastuchana w tę dziwną harmonję, którą tu tworzą tony kościelnego organu, poważne, melancholijne, skrzypiące odgłosy fortepianu ze szkoły tańców i krzykliwe

nek: odrutuj, a to czasem i od nowego lepszy. Bądź co bądź, najtańszy to robotnik, jakiego znaleźć można. Czy złością, czy dobrocią zawsze się z niego tyle roboty wyciągnie, ile zje, a co gmina da, to jakby już znalazł.

Sarkają ludzie, że cenę inszym psuje. A co mu tam, byle sobie nie psuł; niech każdy pilnuje swego i już.

Przekrzywia tedy Probst w jedną stronę ciężką swoją płaską głowę, przekrzywia w drugą, a potem spojrzawszy bystro w twarz urzędnika, rzecz silnym, dobitnym głosem:

— Sto dwadzieścia pięć!

Słowa te wywołują silne wrażenie. Najobojetniejsi nawet kręcą głowami z podziwu. Daj go katu! A to i nie spyta, co kto święci, tylko swoją kozę wali z góry, jak armatnią kulą!

W sali robi się wielka cisza, w którą wpada natarczywe, zajadłe, szczekanie psa, pozostawionego przede drzwiami przy mleczarskim wózku. Stary Wunderli ogląda na lewo i na prawo, jakby szukał okiem którejś ma uciec. Nie ucieka wszakże: stoi jakby skamieniał, jakby wrosł w podłogę. Tylko coraz niżej opada ma dolna szczeka, a oczy otwierają się coraz szerzej.

— Sto dwadzieścia i pięć! — woła Probst raz jeszcze.

Pan radca promienieje. Chwilę wodzi po obecnych ozywionym wzrokiem, a gdy nikt nie podbija mleczarza, uderza białą ręką w leżące przed nim papiery i daje znak woźnemu.

— Po raz pierwszy! — mówi woźny stukając laską w ziemię i ucicha.

— Po raz drugi! — mówi głośnie jęszcze, a stary Kunz Wunderli zmruza nagle oczy i kurczy się boleśnie, jakby kij przebijający dzieło miłosierdzia gminy w niego miał uderzyć.

— I-po-raz-trzeci! — woła razem z woźnym, tryumfujący pan radca.

W chwilę potem Kuntz Wunderli stoi u dyszla mleczarskiego wózka trzęsąc swą nędzną, starą, siwą głową i usiłując drżącymi rękami przełożyć przez siebie parcianą szleję. Z drugiej strony dyszla rzuca się w podskokach silny kudłaty pies w takiejże upręży, ujadając głośno, donośnie.

Maryja Konopnicka.

dźwięki nieustającej «kapeli damskiej» Fedorowicza.

Tego wieczora, pod wpływem zimna i wilgoci, która do szpiku kości przejmowała, zebraczka skuliła się jeszcze bardziej, twarzą dotykała niemal błotnistego trotoaru, ręce trzymała przy sobie, ukryte w brudnych lachmanach, że chcąc dać jej jałmużnę, rzuciłem dziesięć centów w błoto.

— Szkoda... szkoda... — zamruczała stara i gorączkowo, obiema rękami, zaczęła szukać wokoło siebie tych pieniędzy, które dla niej miały chyba tylko idealną wartość...

Dałem jej inne dziesięć centów, ale ona nie przestawała szukać straconych. A szukała z taką niecierpliwością gorączkową, że przyklekła na ziemi i obu rękami grzebała w błocie, rozmazując je po kamieniach i gubiąc jedyną swą podpórę, mały kijek sekaty, którym się podpierała.

— Nie widzę... nie widzę... — szeptała — ale ten, kto ma oczy, znajdzie...

Była ślepa.

Przy mdłym świetle latarni dostrzegłem raz jej źrenice krwawe, bez blasku,

## DZIECIĘCTWA UROK.

My starzy ze zwątpieniem nurtującym w duszy,  
Z bólem zębem życia, który już się kruszy,  
Ze złamanymi skrzydłami, — my gorzcy i smętni,  
Z sercem, gdzie ledwie resztką uciech słabo tętni,  
Jak pod grudą w tajaniu odrobina wody;  
My, starzy, zastępujemy dzisiaj znów w świat młody,  
I przy jego ognisku grzejem się ziębnięci.

Prowadził nas tam słaba, drżąca dłoń pamięci,  
Utrudzonej strażniczki zyciowych zdobyczy...  
Ona, ilekroć łupy naszych walk przeliczy,  
Chmury się zasepiona i z żalnością biada  
Nad wątpliwym tryunfem, ale zawsze rada  
W przeszłość sięga, ze skrzynki wydobywa złotej  
Plon dziecięctwa, wołając: «To wasze klejnoty!»

Dzisiaj ona znówu przy mnie... Dzisiaj znówu litośnie  
Jak szarytka tu weszła i mówi o wiosnie  
Dawno przeszłej... O wiosnie niepowrotnej życia;  
Dzisiaj znówu wywołuje, jak medium, z ukrycia,  
Szereg mar zapomnianych w chaosie i trudzie...  
A ja, wzrok mój w nie topiąc, czuję jak — o cudzie!

W duchu mym przytępionych władz i uczuć mnóstwo  
Budzi znów się rodzące mej młodości bóstwo.

Pamiętam... Wzrok biegł tęskny ku niebiosom  
dzinie,  
Śledząc, rychło też pierwszej blask gwiazdy w dół  
spłynię—

Z tęsknotą zar pragnienia na dziecięcej twarzy  
Małował swe rumieńce, a w serduszkach gwarzy  
Współuczucie — dla aniołka... Ileż bo roboty  
Ma on! Trzeba nasamprzód gwiazdy lichtarz złoty  
Oczyścić, aby błyszczał, a potem opiece  
Jego świecę powierzyć i zapalić świecę.

Lecz to drobnostka jeszcze! Wszak z niebiosów  
długa

Droga do nas, on zasię, skoro już zamruga  
Gwiazdka, ma w oka mgnieniu przez one prze-  
stworza

Spaść na ziemię, — ma tutaj, jak chce woła Boża,  
W każdy dom, gdzie są grzeczne dzieci, wnieść  
wspaniałą  
Choinkę — i ujęć, by go żadne nie widziało.

Jak on to wszystko zrobi? Jak on naraz wszędzie  
Choinki przyozdabiać i oświetlać będzie?

Jak potem przez zamknięte drzwi wymknie się  
gładko?

Próżno walczył dziecięcy umysł z tą zagadką,  
A jednak nieufności mrok nie powstał w głębi,  
Bo czegoż nie wyjaśni niewinny, gołębi  
Głos wiary?

bez wyrazu, — jej rysy grube, rozplynięte,  
bezsztaltne; jej twarz opuchła, całą w fałdach  
dziwacznych, idjotyczną...

Wzdrygnąłem się. Wyciągnąłem z błota  
kij zebraczy i podałem. Wzięła go, ale  
bez podziękowania, cała zajęta poszuki-  
waniem dziesięciu centów, które wpadły  
w rynsztok.

Oburzyła mnie ta chciwość bezsilnej sta-  
rości i tej nędzy, która z wyzebranego  
grosza nawet skorzystać nie potrafi. Chcia-  
łem odejść, gdy w tem na pierwszym pię-  
trze przeciwległej kamienicy ujrzałem dwie  
postacie w jaskrawo oświetlonym oknie.

Jaśniały zdrowiem, młodością, urodą...  
Mężczyzna i kobieta — wolni, szczęśliwi  
w uczuciu, któremu zapewne błogosławił  
Bóg i błogosławili ludzie...

On patrzył w jej rozpromienione oczy,  
sam rozpromieniony, a w tem spojrzeniu  
oddawał jej duszę swoją i brał w zamian  
jej duszę... Byli pewni swego szczęścia...

A zebraczka w lachmanach szukała  
zawsze swych dziesięciu centów, skurczo-  
na, trzęsąca się, gniewna...

Czy ona znajdzie grosz swój zgubiony  
w tem błocie? A oni — ci młodzi — czy

Dzisiaj go słyszę znówu z ust mych dzieci,  
Gdy patrząc się na niebo, czy już gwiazda świeci,  
Szepczą sobie po cichu tajemne domysły.  
Zadzroszczę im, choć czyniąc sam rachunek ścisły  
Z życia, które już za mną, spostrzegam... roz-  
rozdroże...

One łudzą się przecie, a złuda — mój Boże!  
Tylko zawody niesie... Czyż ją krzewić dalej?

Sceptycyzm, który zwolna każdą świętość wali,  
Zgrzyce: «Tem lepiej otrząść się ze złud, im prę-  
dziej!»

Ale serce, co nieraz wśród zyciowej nędzy  
Krwawiło się łaknieniem, choć złudnej otuchy,  
Tłumi ten zgrzyt zwątpienia, rozpaczliwie suchy.

Ono, przeszłość swą mierząc własnych cierpień  
skala,

Wie, że w gruzach tych wierzeń, co się same wala,  
Ginie spokój i szczęście... Ono wie — po sobie...

I tuląc rozmarzone te postacie obie,  
Dzieweczki i chłopaczka, życzeniem im wtórzy:  
— Ocalcie wy dziecięctwa urok jak najdłużej!

St. Rossowski.

«Gaz. Nar.»

## Lamartine.

(Dokończenie).

W «Harmonjach» Lamartine uzewnętrznił zachwyt swój i szczęście, płynące z wiary i pewności posiadania tego, którego pożądał duszą całą. W poematach zamierzył on ująć w całokształt filozofję, ściśle wiążącą się z tym zachwytem i szczęściem jego. Żądza Boga była jej początkiem i końcem. Z zadania tego poeta doskonale się wywiązał w ósmym widzeniu «Upadku anioła» (1838); wzniosłość i jasność myśli, jednolitość i prostota budowy, rzadka u Lamartine'a ścisłość i zwięzłość w wyrażeniach, czynią ustep ten nie tylko najwspanialszym wylewem religijnych uczuć poety, ale jednym z najudatniejszych wytworów poezji filozoficznej wogóle. Upadły anioł, Cedar, wraz z ukochaną swoją Daidhą, chroniąc się od pogoni nieprzyjaciół, wstępują na górę Karmel; tam, nieznany im przedtem, świętobliwy i łagodny starzec czyta im ustepy z księgi, zwanej pierwotną i zawierającej naukę prawdziwej wiary. Podajemy ją w krótkim streszczeniu. Wia-

znają szczęście, którego są tak pewni, wśród tego gwaru, tej wrzawy życia, które wre w koło nich?...

Takie pytanie błysło mi w umyśle...

Wszak ta zebraczka, zarówno jak oni, szuka czegoś co nie ma dla niej rzeczywistej wartości — chyba tylko wartość idealną...

Czy znajdują?...

— Boże, bądź miłościw mnie grzeszemu! — ozwał się nagle głos, wychodzący z kościoła, penitenta, który ukląkł na kamiennych schodach i bił się w piersi ze skruchą...

Ten chyba jeden miał słusność, — rozstrzygnął zagadkę życia!...

Adam Krechowicki.

«Kur. Pozn.»

ra jest aktem rozumu, na rozumie odbił Stwórca własny obraz; uwięziony jednak w ciele, grzeźnie on w glinie i błocie zmysłów, niezdolny do objęcia Boga; przeczuwa Go tylko; w miarę rozwoju, powoli zbliża się do Niego i tęskni do wiekuistego z Nim połączenia; do tegoż tęskni całe stworzenie; życie natury jest ciąglem rwaniem się w górę, pragnieniem powrotu tam, z kąd wzięło początek. Idealy ludzkie rosną i olbrzymieją; co się dziś wydaje sprawiedliwością — kiedyś, gdy ludzkość zaczerpnie więcej miłości z nieba, będzie zbrodnią; miasto sprawiedliwości, miłosierdzie i ofiara rządzić będą światem; wszakże człowiek, obdarzony wolną wolą, może zbaczać z prostej drogi do Boga i spadać; w życiu zagrobowem czeka go wtedy potępienie, ale wiecznem ono nie jest, z otchłani piekieł można znowu powoli się wznieść do Boga. Zie nie istnieje; wydaje się czemś rzeczywistem, ponieważ ograniczony rozum nie umie objąć całości dzieła bożego. Miłujcie Boga, jest On wszędzie; nie zamykajcie Go w świątyniach, módlcie się po trzykroć dziennie, ale niech za was przemawiają do Stwórcy dzieci, kobiety, starcy i chorzy, bo ci czują najgłębiej i najgoręcej tęsknią do nieba; miłujcie się wzajemnie, nie dzielcie się na plemiona i narody, niech rodzina będzie zawiązkiem i podstawą waszej społeczności, nie przelewajcie krwi zwierząt, ani zabierajcie im mleka; umiejcie w oczach ich dostrzedz te słabe odbłaski rozumu, krórego Bóg nie pozbawił ich całkiem; niechaj nienawiść, męka i śmierć nie będą podstawą waszych stosunków z niemi; osładzajcie ich dole, aby się radowały, słysząc głos wasz. Życie w pracy koło roli, nie budujcie miast, bo gwar miejski odwraca myśl ludzką od nieba; rządzcie się sami, nie tworząc królów i panów nad sobą; dla winnych bądźcie miłosierni.

Czytając nauki te, proste i wzniosłe, a wypowiedziane mową miarową, dobitnie i zwieźle, doznajemy złudzenia, że nie są one dziełem myśli poety, ale rzeczywistym ułamkiem jakichś starodawnych i zaginionych ksiąg, echem zamarłej a szlachetniejszej przeszłości.

Ofiara, jako szczyt cnoty — oto filozofia Lamartine'a, zastosowana do życia: upadły anioł, wyobrażający ludzkość, miał drogą ofiar odzyskać utraconą ojczyznę. Początkiem tej wielkiej epopei poświęcenia jest właśnie «Upadek anioła» — zakończeniem i szczytem, «Jocelyn», od którego jednak poeta rozpoczął swe dzieło, wydając go w r. 1836, więc dwa lata przed «Upadkiem anioła». Na pozór nie istnieje żaden związek pomiędzy Jocelynem a losami niebiańskiego wygnancy; opowiadanie osnute na prawdziwym zdarzeniu; bohater jest proboszczem zapadłej alpejskiej parafji, o pochodzeniu jego od aniołów nie ma mowy, ale Jocelyn wciela w sobie ideał poety, życie jego jest jednym pasmem ofiar. W szesnastym roku robi z siebie ofiarę siostrze, zrzekając się na jej rzecz spadku po rodzicach — ofiarę Bogu, poświęcając mu swoje dni młode i resztę życia. W seminarjum szczęśliwie upływa mu lata, życie jest ciąglem marzeniem rozkosznem, cichem; na skrzydłach łagodnych powiewów letnich unoszą się jego myśli sennie w nieskończoność; tam się rozjaśniają w blaskach słońc i rozplywają w błękitach... Ale nadchodzi burza rewolucyjna; wygnany z zaciśniętego swego kłeryku znajduje schronienie w oddalonej, samotnej grocie alpejskiej; tam pędzi dalej swój żywot kontemplacyjny; rozmowy z naturą i Bogiem wprawiają go w szal

szczęścia, serce mu się rozrywa, weselem swoim chciałby ozłocić jaką duszę pokrewną, dzielić z nią swe zachwyty i rozszerzać przez to życie własne i szczęście. Spotyka dwóch skazańców politycznych, uciekających przed pogonią żołnierzy, daje im przytułek; wkrótce starszy umiera z ran, otrzymanych w czasie ucieczki; przed skonaniem poleca córce swej, przebranej w szaty mężkie, nadal ukrywać dla bezpieczeństwa pleć swoją; potem oddaje ją Jocelynowi w opiekę. Ten się nie domyśla tajemnicy, szczęśliwy z niemieckiego towarzysza, potęgą zachwyty swoich rozpala mu serce; wspólnie odtąd modlą się i marzą, życie nabiera nowego uroku — ale nie nadługo; zasłona spada młodzieńcowi z oczu, w duszy sługi Bożego rozpoczyna się walka bolesna pomiędzy namiętnością, a poczuciem obowiązku. Obowiązek zwycięża, Jocelyn opuszcza Laurencję, przyjmuje święcenia kapłańskie, osiada w oddalonym górskim zakątku, a ból swój stara się zagłuszyć, przenosząc na bliźnich tę miłość, którą płał dla kochanki. Są jednak chwile, kiedy ból przemaga wszelkie inne uczucia i myśli, i nieszczęśliwy kapłan przeklina tryumf swej cnoty. Po latach kilku spotyka dawną kochankę w Paryżu; zawiadziona w swej pierwszej miłości, oddała się rozpuście; odtąd wyrzuty sumienia potęgują ból Jocelyna, lecz tem gorliwiej oddaje się on pracy koło dobra duchownego tych, których pieczę mu powierzono; tem namiętniej kocha naturę, tem goręcej tęskni do chwili śmierci, która bóle jego uśmierzy, jednocząc go ze Stwórcą. Przed śmiercią przybywa Laurencja w góry, aby odbyć spowiedź życia przed tym, którego nawet w upadku swoim nie przestała kochać i czcić; Jocelyn poznaje ją przy końcu spowiedzi, godzi z Bogiem, umarła chowa w miejscu, które widownią było ich młodzieńczych, a czystych uniesień. Ciężar spadł mu z duszy; zrobiwszy zupełną z siebie ofiarę i wychyliwszy kielich goryczy, znalazł ukrytą na dnie perłę: wolę swą zlał z wolą Bożą, a serce stało mu się przybytkiem Stwórcy. Żyje odtąd w świecie nadzmysłowym, i wkrótce podąży za Laurencją tam, z kąd dusza czerpała swe światło i gdzie ją poprzedziły westchnienia jej i tęsknoty.

Poemat grzeszy rozwlekłą jednostajnością. Około 9,000 wierszy, poświęconych opisom wiecznie tych samych walk wewnętrznych Jocelyna, na tle wspaniałej natury alpejskiej! Ale jakże uroczym odmalowała się w opisach tych postać poety, świecąca łagodnym blaskiem zaświatowej szczęśliwości! Lamartine, wedle trafnych spostrzeżeń K. de Pomairols, umiał zawsze — ale najlepiej to zrobił «Jocelynie» — ogłocić naturę ze wszystkiego, co brzydkie, grube, ciężkie, zatrzymując się natomiast z upodobaniem na wszystkim, co się wiązało z myślą o nieskończoności, więc głównie na pierwiastkach płynnych i lotnych: wody i błękity nieba były dlań źródłem obrazów i porównań niewyczerpanych pod względem różnorodności i uroku, i dzięki temu, natura uduchowiała się w opisach poety, nabierając jakiejś przezroczyściej, niezłomskiej jasności. Co zaś do treści, to słodycz i lzy rozlane w opisie duchownych przeobrażeń Jocelyna «dają uczuć — słowa Pomairols'a — *le délice d'être tendre et d'être bon*». Uroczym, a trafnym określeniem!

«Poezja jest rozkoszą myśli, więc nie powinna być chlebem powszednim w życiu człowieka; nie może stanowić całej jego treści, podobnie jak wyobrażenia i uczucie, nie stanowią całej duszy. Cóżby

wart był człowiek, któryby spędził życie na układaniu w rymy swoich marzeń poetycznych, wówczas, gdy współcześni jego brali udział w wielkiej walce o ojczyznę i cywilizację...?» «Wbrew zdaniu większości twierdzą, że owe odosobnienie kontemplacyjne, które radzą ludziom myśli w czasach pracy i walki, jest dowodem wielkiej bezsilności albo wielkiego egoizmu. Tylko myśl i czyn mogą wzajemnie się uzupełnić». Znamienne te słowa, które Lamartine pisał właśnie w przedmowie do «Jocelyna», należy koniecznie mieć na widoku, chcąc wydać słuszny sąd o jego pracy twórczej. Poezję uważał on tylko za rozrywkę, dziełem swoim nie przypisywał znaczenia, ale natomiast życie jego było poematem, bo ten tęskny wygnaniec z krain poezji, zatopiony w myślach o Opatrzności, czuwającej nad światem, wierzył w łatwość urzeczywistnienia na ziemi ideałów miłości społecznej i szczęścia, i nad dziełem tem pracował nietylko słowem, lecz czynem, rzucając się z nadzieją blizkiego zwycięstwa w sam wir walki. Za panowania Burbonów oddał się dyplomacji i otrzymał już był naznaczenie posła w Atenach, w chwili, gdy wybuchła rewolucja lipcowa. Potem, od roku 1834 aż do zamachu stanu Napoleona, zasiadał w izbie deputowanych, dożył zaś chwili tak wspaniałej, że nic podobnego nie przypało nigdy w udziale żadnemu z poetów, stał się bowiem wieszczem narodu w całym znaczeniu wyrazu: duch Francji wcielił się w niego, potęgą słowa oczarował ją i wstrzymał w chwili, gdy toczyła się w przepaść rewolucji socjalnej. Karol de Mazade, który najobszerniej się zastanawiał nad działalnością polityczną Lamartine'a i surowo ją osądził<sup>1)</sup>, zarzucił mu nieumiejętność hamowania fantazji i porównał z Orciem z «Nieboskiej Komedji», pokilkakrotnie zaczynającym Zdrowaś Marja, a nie umiejącym dokończyć, bo go fantazja unosi i słowa modlitwy toną w wylewach liryzmu. Jednak fakty, przytoczone w książce p. Mazade, doprowadzają do odmiennego wniosku: fantazja Lamartine'a uwidoczniła się w tem, że, umiejac sięgnąć okiem w daleką przyszłość, przewidywał czego się nie domyślali towarzysze jego, zaprzatnięci powszednimi sprawami, i stał po nad stronnictwami. Gdy pierwszy raz wszedł do izby zapytano go, gdzie zasiadzie: «Na suficie, — odrzekł — bo nie widzę miejsca dla siebie w żadnym ze stronnictw». Słowu temu pozostał wierny, na zatargi rządu i opozycji patrzył z góry, jak gdyby z wyzyn błękitnych; rojalista z tradycji, z wychowania i z pędu, nie mógł współczuć orleanom; nie dzielając ich polityki wewnątrz sennej, a nieśmiało nazewnątrz, wyrzekł wkrótce prorocze słowa, które obieży Europę: «*La France est une nation, qui s'ennuie*» — przewidział, że po upadku prawowitej monarchji, dynastia orleanów i każda inna mogła być tylko krótszym lub dłuższym etapem w drodze do rzeczypospolitej, do zupełnego rozszerzenia idei demokratycznej. «Z dniem każdym — pisał on w jednym z listów r. 1835 — staje się coraz głębszym, coraz bardziej świadomym siebie rewolucjonistą. Są dwa prawa na świecie: spoczynek i ruch. Niektóre duchy, niektóre epoki zdają się być powołane przez Boga, aby wszystkiemi siłami służyły jednemu z tych praw. Niech sumienie osądzi, któremu. Rozmyślam nieustannie, na klęczkach, przed Bogiem, i zdaje mi się, że my i że epoka nasza po-

<sup>1)</sup> Lamartine. *Sa vie littéraire et politique*. 1872.

winna odważnie służyć prawu odnowienia. Ale ten rewolucjonista, kierując się uczuciem rycerskim, nie chciał mieć nic wspólnego z wrogami dynastji; głos zabierał wtedy tylko, gdy przyczynić się mógł do urzeczywistnienia zasady miłości społecznej; więc gorąco przemawiał za zniesieniem niewolnictwa, powstawał przeciwko karze śmierci, brał żywy udział w sprawie więzień, podrzutków, kas oszczędności dla robotników, podatków pośrednich; był za wolnością prasy i nauczania, za rozdziałem państwa i Kościoła, przez uszanowanie dla religji, za głosowaniem powszechnem i t. d. Jednocześnie pracując nad «historją Zyrondyków», coraz bardziej się przekonywał, że przyszłość należy do demokracji i coraz silniej się zapalał do idei rewolucyjnej. Zrządzeniem losu, dzieło jego wychodzi z druku w przededniu przewrotu lutowego; popularność poety wzrasta do nieznanych przedtem rozmiarów; gdy król, zrzucony z tronu, opuszcza Francję, oczy wszystkich zwracają się ku Lamartine'owi; orleaniści ludzą się nadzieją, że zgodnie z życzeniem ich ogłosi rejęncję księżny orleanu i obejmie rząd na siebie, ale poeta myśl tę odrzuca—nie żywił nigdy sympatji dla przywłaszczycieli, a teraz przestał wierzyć w możliwość monarchji; wobec deputowanych, zmieszanych z tłumami powstańców, ogłasza konieczność rządu prowizorycznego, zostaje wybrany na członka, potem, w ciągu dni czterech, sam jeden, bez pomocy wojska, które się zdeorganizowało, z nieustannem narażeniem życia broni chorągwi trójkolorowej od rozwścieczonych tłumów, usiłujących zawiesić sztandar czerwony; hamuje zrazu potęgą wymowy, potem porywa czarem natchnienia, odzęgnywa wiszącą nad Francją burzę, staje się bożyszczem narodu i za dni naszych urzeczywistnia starożytne podanie o Orfeuszu, czarującym lirą swoją lwy i tygrysy<sup>1)</sup>. Ale popularność człowieka, stojącego po nad stronnictwami, nie może być trwała; przeciwieństwa prądów zaostają się, zachowawcza większość zgromadzenia narodowego nie może wybaczyć poecie, że za pośrednictwem jego został powołany do komitetu wykonawczego radykalny Ledru-Rollin; socjaliści znowu i ulica zarzucają konserwatyzm; zażegnana na razie nawałnica nadchodzi po trzech miesiącach; słowa nie skutują, cztery dni leje się krew na ulicach Paryża; zawiedziony w nadziejach poeta napróżno szuka śmierci, bunt zostaje stłumiony, władzę naczelną obejmuje Cavaignac, dni chwały Lamartine'a mijają nazawsze.

Działalności publicznej poety nie da się zaprzeczyć, ani wspaniałość i wzniosłość, ani świadomość celu i konsekwencja.

Zalobnie odtąd wlokło się życie poety. Hojny, wspaniałomyślny i dobroczynny, nierozważnie zwykł był trwonić mienie, i pomimo ogromnych dochodów, które miał z dzieł swoich, wpadał w większe jeszcze długi; zapóźno się obejrzał, że nie starczyło mu środków na spłacenie ich, i że zachwiał się przez to dobrobyt jego wierzycieli. Zmienił wtedy tryb życia, z poety i pana przeistoczył się w rzemieślnika literackiego, i aby uiścić się z długów, pracował odtąd, przez lat prawie dwadzieścia, do śmierci samej niezmordowanie, zawzięcie; dzięki zadziwiającej łatwości w pracy, nie pisał, ale fabrykował całe stosy dzieł treści historycznej, literackiej, publicystycznej i powieściowej; ale talent

się wyczerpywał, plody pióra poety wartości nie miały. Samotny, opuszczony, zapomniany, pograżał się on w melancholję, tembardziej, że tracił żonę i najbliższych przyjaciół; w r. 1867 dumnie odrzucił dwa miliony, ofiarowane mu przez Napoleona III; porównanie dawnej świetności z obecnem zapomnieniem i upadkiem, zbyt mu boleśnie dolegało, aby mógł zapanować nad smutkiem; to też ostatnie dwa lata przemilczał; okiem łaskawem, ale smutnem, spoglądał na tych niezliczonych przyjaciół, co go odwiedzali; nie było jednak podobieństwa zachęcić go do rozmowy; na usilne prośby pielęgnującej go siostrzenicy, odpowiadał, że przecie zdobył sobie nareszcie przywilej milczenia. Zgasł 28 lutego 1869 r.

Streszczamy. Naprzekór sceptycyzmowi Byrona i panteistycznemu, pogańskiemu i rewolucyjnym ekstazom Shelleya, Lamartine wołał, że Bóg istnieje, że jest Ojcem kochającym, że wiekuiste z nim zlanie, jest szczytem szczęśliwości i celem życia, że ziemskim przedsmakiem tych zachwytyłów zagrobowych, jest miłość Boga, że znajduje ona wyraz w dziecięcym poddaniu się woli Ojca najlepszego w ofierze z siebie, że najmilszą dla Boga ofiarą jest poświęcenie siebie bliżnim—miłość społeczna. Myśli, porywająco piękne, ale niestety, wypowiedziane najczęściej słabiej bo ten największy we Francji idealista, wrażliwym był tylko na dobro i na piękno, złego prawie nie widział, a nie wierzył, aby Bóg mógł je dopuścić; więc zakres jego wrażeń, uczuć i myśli, blakł i niknął wobec szerokich widnokręgów Byrona i Shelleya. Ale nie dość tego: idealista rwał się do czynu, gardził piórem, pisał przeto niedbale i rozwlekle, więc nietylko co do treści, ale i pod względem formy, dzieła jego nie mogły iść w porównanie z dziełami jego wielkich współzawodników w Anglii. Aby spirytualizm w poezji mógł zrównoważyć sceptycyzm Byrona, lub pogańsko-sensualistyczny panteizm Shelleya, musiał wybujać w sercu, któreby umiało zmieścić w sobie i odczuć, i przeboleć wszystkie nadzieje tęsknoty i bóle ludzkie. Tego Lamartine nie zdołał.

Nic więc dziwnego, że usiłowania poety mogły się spotkać z obojętnością lub niechęcią. Nad stosunkiem Lamartine'a do Byrona zastanawiał się dotąd, o ile nam wiadomo, tylko p. H. Blaze de Bury<sup>1)</sup>, a studjum jego tchnie dziwnem uprzedzeniem do uroczego śpiewaka «Medytacyj». Zdaniem krytyka, rozpacz, skargi i przekleństwa Byrona miały pociągać Lamartine'a, jak szatan pociągał niewinną Eloę Alfreda de Vigny; ale poeta francuzki zrozumiał, że nie mógł w tym względzie współzawodniczyć z autorem «Don Juana», więc wołał zostać pierwszym w chórze aniołów, niż drugim po Lucyperze; ponieważ otchłanie miały już tenora, niechże więc firmament znajdzie swego wirtuoza. Więc takie tylko miały być pobudki niebiańskich polotów Lamartine'a! Szczera, gorąca, niemal namiętna religijność poety, obila się o myśl krytyka, nie pozostawiwszy na niej śladu.

Jak u Lamartine'a, tak też u Chateaubrianda, religijność stanowi ośnowę twórczości; ale u Chateaubrianda ma ona źródło swoje we wstąpieniu do gwałtów rewolucji; opiera się na katolicyzmie, bo uważa go za podporę porządku społecznego, a nie umie otrząść się z nawyknień sceptycznych. Lamartine nie zna kształtów

określonych, nie ma nic wspólnego z katolicyzmem, ale jest szczerem i serdecznym westchnieniem duszy do Boga. Twórczość Chateaubrianda, idzie równolegle ze współczesnym jej reakcyjno-katolickim kierunkiem filozofji Bonalda i de Maistre'a—szeroki zaś i optymistyczny idealizm Lamartine'a, odpowiada w pewnej mierze dążeniom liberalnych katolików, jak Lamennais, Lacordaire, Montalembert, a więcej jeszcze humanitarnym marzeniom filozoficznym Quinet'a i Michelet'a.

Religijność zbliża też Lamartine'a z romantyzmem niemieckim, ale u jednych romantyków pod powłoką religijności kryje się Chateaubriandowski sceptycyzm i reakcjonizm (Schleglowie)—u drugich wiąże się ona ze wstąpieniem do rzeczywistości i z pragnieniem zatopienia się i zaśnięcia w marzeniach (Novalis i Tieck). Tymczasem Lamartine tem przewyższył ich, że rwie się do czynu, i jak Shelley, żyje nadzieją zwycięstwa prawdy; nadzieja ta wyływa u Shelleya z wiary w dobrą naturę ludzką, u Lamartine'a z wiary w Opatrzność Bożą; u Shelleya jest tem namiętniejszą, że poeta odrzuca życie zagrobowe; u Lamartine'a ma cechy spokoju, bo poeta wie, że chociażby nie ziściły się na ziemi marzenia jego, to wynagrodzi go sownie szczęśliwość wiekuista.

Poezja Lamartine'a jest doskonałym wyrazem epoki, w której przyszła na świat. Gdy po młodości, spędzonej burzliwie w złudzeniach, w pogoni za ideałem, w rozkoszach zachwytyłów, ale i w bólach rozczarowań, nastąpią jednostajne dni ciszy, wówczas ogarnia w pierwszej chwili uczucie słodczy wypoczynku i chęć przedłużenia go na przyszłość; nastrój ten, po burzach rewolucji i wojen Napoleońskich, wyraża z jednej strony poezja «Medytacyj» Lamartine'a, cicha, marząca, religijna, beznamiętna—z drugiej religijne prądy w filozofji ówczesnej.

Ale powoli jednostajność zaczyna nużyć, z przeszłości pozostają w pamięci tylko chwile błogich upożeń, budzi się do nich tęsknota, zmartwychpowstają pogrzebane natchnienia i porywy młodości, myśl i wola rwą się naprzód, chce się znowu wierzyć w możliwość urzeczywistnienia rojeń młodocianych. Ten nowy zwrot przebija się już w «Harmonjach», silniej w poematach, wyraźniej i dosadnie w «Historji zyrondyków»<sup>1)</sup> w całej działalności politycznej Lamartine'a. Równocześnie katolicy liberalni marzą o pogodzeniu demokratycznych idei rewolucji z religją, Lamennais zaś o zerwaniu z nimi, Quinet i Michelet podnoszą do ideału bohaterską stronę rewolucji i cesarstwa, widzą w niej świadectwo Promoteuszowych sił ludzkości i przepowiednię zwycięstwa prawdy. Jak dalece poezja Lamartine'a idzie ręką w rękę z marzeniami Quinet'ów i Michelet'ów, o tem świadczy ostatnia z jego «Harmonij», poświęcona rewolucjom:

L'humanité n'est pas le boeuf à courte haleine  
Qui creuse à pas égaux son sillon dans la plaine,  
Et revient ruminer sur un sillon pareil.  
C'est l'aigle rajoué qui change son plumage,  
Et qui monte affronter de nuage en nuage,  
Les plus hauts rayons du soleil.

Równocześnie i podobnie poezja Wiktora Hugo wywyższa rewolucję, śpiewa o Bogu, o wspaniałym pochodzie ludzkości ku światłu, więc może być przeciwstawioną sceptycyzmowi Byrona jako protest spirytualistyczny. Ale marzenia Lamartine'a są w tym względzie nierównie wymowniejsze: poeta nie zapomina nigdy, że Bóg jest początkiem jego myśli, uczuć i dążeń i że życie doczesne jest ściśle

<sup>1)</sup> Ch. Alexandre: Souvenirs sur Lamartine. 1884.

<sup>1)</sup> «Lord Byron et le byronisme». «Revue des deux Mondes». 1872. 101.

związane z życiem grobowem. «Patrzcie, jak prad dziejów bieży ku Jehowie...» «Jak wieki sylabizują wyrazy Ewangelji,»—wołania podobne spotykamy u niego, ilekroć się zastanawia nad losami ludzkości. Tymczasem Wiktora Hugo zanadto pochłania myśl o doczesnem urzeczywistnieniu jego ideałów, a pomiędzy ideałami temi zanadto wybitne miejsce zajmuje blaha sprawa reformy literackiej. Jak Shelley jest najwyraźniejszym i najpodnioslejszym z tych, którzy usiłowali rozwiązać Byronowskie zagadnienia w duchu sensualistyczno-pogańskim, tak Lamartine jest najwyraźniejszym i najpodnioslejszym ze spirytualistów w poezji zachodnio-europejskiej; Wiktor Hugo zaś zajmuje pomiędzy Shelley'em a Lamartine'm stanowisko pośrednie, choć bliższe Lamartine'a. Ale poczucie i świadomość przeciwieństwa burzliwie spędzonej młodości ze spokojem lat późniejszych nie zawsze doprowadza do tej równowagi i pogody, którą ujawnił Lamartine i pokrewne jemu duchy. Są umysły wrażliwe, niespokojne i porywcze, które, zastanawiając się nad owem przeciwieństwem, dochodzą do rozpaczliwego wniosku o bezowocności burz i szalów, a niecierpliwością wypoczynku. Na takich umysłach poezja Byrona wywarła wrażenie głębokie, trwałe, a nie zawsze dodatnie.

M. Zdziechowski.

## CO CZYTAĆ?

Sądzę, iż trafię do przekonania łaskawych czytelniczek, gdy im bez namysłu powiem: fizjologiczno-psychologiczne romanse!

Proszę się nie zżymać i nie udawać świętoszek, bo z dokumentami w rękę mogę każdego przekonać, iż taką lekturę najwięcej szanowne panie uprawiają. Raczej wstąpić do wypożyczalni książek i zapytać, które utwory są najwięcej poszukiwane, których zawsze w czytelnicy brakuje, które się najwięcej niszczą i w których znajduje się najwięcej podkreślań i uwag, notowanych ołówkiem na marginesach. Więc po co się zapierać!

Ja też temu się nie dziwię, bo i beletrystyka ma swoją modę, a beletrystyka, o której mówię, stanowi lekturę bardzo pouczającą i poważną.

Która z pań starszych słyszała dawniej o psychologii, o fizjologii, o estetyce. Matki nasze rozpyływały się we łzach nad losami sentymentalnych kochanek, które jeżeli były nieszczęśliwe, to tylko dlatego, że nie umiały żyć i daly się unosić niepraktycznym porywom serca.

Zycie, moje panie, samo z siebie jest dość głupie, a w porównaniu z aspiracjami człowieka—za krótkie. Kto więc pozna bliżej naturę ludzką i wie czego można chcieć, a czego nie można, potrafi odsunąć od siebie wszelkie nieprzyjemności (v de Schopenhauer) i zacząć wszelkiej szczęśliwości doczesnej. Cała trudność tylko zastosowania tej metody leży w tem, aby ta szczęśliwość odbywała się w sposób dystyngowany, bez krzyjących skandalów, no, i ma się rozumieć bez odpowiedzialności przed sądami. Ale na cóż mamy cywilizację i wyrobione przez nią poczucie estetyczne.

Bieda tylko z tą indywidualną naturą człowieka, która, jak dowodzą dzisiejsi filozofowie, leży po za granicami woli, najczęściej odziedziczona od przodków. Rozbójnik morduje, bo to leży w jego krwi; złodziej kradnie instynktowo, gnany nieprzewyciężonym przymusem wewnętrznym. Pijak, morfinista i maniak nie winni przecież, że takimi ich natura stworzyła, podobnie jak niewinna jest kobieta, że kocha nieponia.

Koniec dziewiętnastego wieku doszedł do przekonania, że zbrodnia jest zadawanie gwałtu naturze, albowiem mści się ona potem na

walczących z nią i najgorsze skutki sprowadza. Zresztą na co się to zdało chcieć głową mur rozbijać—jestto niepotrzebne marnowanie szlachetnych sił człowieka, kiedy można to wszystko tak przyzwolcie urządzić, żeby wilk był syty i owca cała.

Najważniejszym czynnikiem życia, dającym szczęście, jest miłość, nie też dziwnego, że modna beletrystyka wyłącznie się nią zajmuje. A że osiła, koło której miłość się obraca, jest kobieta, więc naturalną rzeczą, ona powinna studjować objawy tego uczucia, i mieć pod tym względem swoją metodę.

Co tam udawać panów, skoro kobieta faktycznie rządzi i faktycznie kolki, jeżeli nie coś gorszego, czesze nam na głowach. Czasy starej Grecji wracają; piękność kształtów, a cóż jest piękniejszego nad kobietę, decyduje o wszystkim. Ubóstwiamy i czcimy piękną formę, czego dowodem dzisiejsze malarstwo i rzeźba, i konkursy piękności. Nie długo czekać, a będziemy oglądali nowożytnie Fryny, idące bez ubrania do kąpielni, ma się rozumieć za pewną opłatą.

Skoro więc idzie o miłość i piękno, o szczęśliwe a estetycznie pojęte uczucie życia, to powieść modna musi nam stawiać wzory tylko z dystyngowanego towarzystwa, dzierżącego berło dobrego tonu. Tu się kwalifikują sami hrabiowie i hrabiny, margrabiny, księżne, a wyjątkowo świat artystyczny i literacki. Panny nawet tej sfery wyszły już kompletnie z mody; psychologia uznała, że miłość nie orze w cielecia, ale za to młode mężatki, wdowy, rozwódki w pełni rozwoju niewieścich kształtów, stanowią wyłączny zapas bohaterek. Osoby te nie mają do roboty, za to pieniądze, więc mogą zajmować się studjami nad przyjemnościami życia. Nawiasowo dodaje, że najbardziej poszukiwane są teraz blondynki z niebieskimi oczyma, wątłej budowy ciała, woniejące podniecającymi pachnidłami, w buduarach obitych niebieskim atlasem i t. p.

Kokieteryja jest drugą naturą kobiety, dlatego więc nie ma ona tego daru natury rozwijać i pielęgnować ku podbijaniu mężczyzny; czy to nie jest przyjemnem widzieć się adorowaną, uwielbianą i czczoną do szaleństwa. Mąż, jak każda rzecz zdobyta, jest z powszedniym mężczyzną, daje nazwisko i firmę, ale emocji nie przysparza. Dość dla niego zaszczytu, że jest mężem przeslicznej kobiety, to powinno go napelniać dumą.

Bo proszę państwa, czyby człowiek wytrzymał jadając na śniadanie, na obiad i na kolację jedną i też samą potrawę, ubierał się w jedną suknię i miał przed sobą jedną i też samą twarz przez całe życie. Zresztą, czyż może kto ręczyć za swoje myśli i uczucia, czyż miłość jest wekslem, albo aktem notarialnym! Przychodzi ona niewzywana i nieproszona i w ten sam sposób odchodzi.

Zresztą, jak już konieczne idzie o miłość małżeńską, to można równolegle kochać męża jako męża, a pana Alfreda, czy Artura—jako przyjaciela—ot tak sobie, aby bez skandalu.

W dawnych romansach mężczyzna zwykle był atakującym i sprowadzał kobiety z drogi uczciwej, modna powieść oddaje berło uwodzenia kobiecie i ona to z reguły zarzuca ślicznie utoczone ramiona na szyję Alfredów, ona się stara ich zdobyć i w uroczym neglizżu idzie... no gdzie idzie, to rozmaicie bywa. Pyszna historja! Już widzę, jak to się oczy skrzę młokosom, jak ślinka im płynie do ust, czytając o tej przecudnej hrabinie, oddającej się w tak estetycznem otoczeniu temu, na którego zarzuciła sieci.

Słuchając tych wszystkich opowieści, osnutych na tle filozoficznej konieczności, umotywowanych potrzebą natury serca i uczuć, a w prostocie swej tyle rozkosznych, zdawałoby się, że ci hrabiowie, margrabiowie i księżta oraz ich damy, już nie mają innych zadań w życiu, tylko kochać się, balamucić, zazdrościć, zdradzać i t. p. Co za rozkosz, jak tu takiego życia nie pragnąć, jak nie wzdychać do niego i wszystkich sił ku niemu kierować!

Na co tu cicha praca, obowiązki, szlachetne intencje i aspiracje, skoro one nie dają przyjemności użycia, a przeciwnie walkę z własnymi namiętnościami czynią bezużyteczną, śmieszna. Więc czytajcie owe kilkatomowe wykłady estetyki życiowej i obrzydzajcie sobie powszed-

ność zwyczajnych zajęć, wy żony i córki naszej pracującej, w pocie czoła, inteligencji. To was i rodziny wasze orzeźwi i da moc do znoszenia trudów codziennego życia, to wam i synom i mężom waszym doda sił do walczenia w sprawie o byt narodowy. A wy, panowie autorowie i krytycy, zapatrujący się z zachwytem na wzory z nad Sekwany, na dobry ton i szyk, naśladowcie kolegów paryżkich, wprowadzajcie to bioto do naszych uczciwych rodzin, wyszukujcie je w naszych stosunkach, podnoście do ideału rozpustne aktorki, analizujcie gangrenę, zachwalajcie w recenzjach, bo to doda nam pokarmu wielkiego świata i postawi w rzędzie cywilizowanych ludów. Wszak my już mamy wszystko: my nie mamy nic do zdobywania, tylko używajmy darów natury umiejętnie i estetycznie, a reszta sama się zrobi, jeżeli nam kiedyś coś jest przeznaczone.

A. Wilczyński.

«Gaz. Nar.»

## Spór o czechów.

(List do Redaktora «Kraju».)

Warszawa, 22 grudnia.

Nie chciałbym, broń Boże, uchodzić za—czechożercę, nietylko w oczach sz. pana, Br. Grabowskiego, dotkniętego w najszczerzych swych sympatjach spokojną moją wzmiankę z N-ru 45 «Kraju», ale tembardziej w mniemaniu osobistych moich dobrych znajomych, śmiem twierdzić: przyjaciół z nad Weltawy. Ale szczery żywieć afekt dla czeskiego narodu w ogóle, a kilku jego członków w szczególności, nie znaczy dla mnie wcale bronić patetycznie wszystkiego, co «czeskie», poczynszy od zasług obywatelskich p. Naprstka, a kończąc na jednoaktówce Vrchlicky'ego. P. Grabowski wziął na siebie piękniejszą rolę. Rola obrońcy szlachetną jest zawsze i jednającą serca; chwalebna jest ona do tego nawet stopnia, że mnie samemu, po przeczytaniu obszerniej odezwy p. Grabowskiego, jako pierwsze słowo pod pióro, wpadł znany wykrzyknik francuzki: *Honneur au courage malheureux!*

Pamiętam,—pierwsze moje zetknięcie się bezpośrednie z piśmiennictwem czeskiem zawdzięczam uroczystemu przeprowadzeniu zwłok Bol. Jabłońskiego (E. Tupy'ego) z Krakowa do Pragi. Dziesięć lat będzie temu. Pisaliśmy wówczas z Juljuszem Mieniem na wspólną gorący, bardzo gorący feljeton w «Czasie», a przekład mój wiersza Tupy'ego, na wstępach wieńca wawrzynowego odbity, powędrował na trumnie poety tam, do rodzinnej jego ziemi, wcale mnie wówczas jeszcze nieznaney. O skromnym, pierwszym tym holdzie, złożonym przedstawicielowi pobratymczego piśmiennictwa, wspominam nie dla chluby niemądrej, jeno dla tego, że mi p. Grabowski zarzuca «szowinistyczne uprzedzenie o naszej własnej wyższości»... W lat kilka później, juzem mógł tłómaczyć ustępów parę z cytowanego przez p. G. dramatycznego poematu Vrchlicky'ego «Twardowski», drukującego się podówczas w «Lumirze», coś niecoś z poezyj S. Czecha, ze zbiorku «Duch a svet» Vrchlicky'ego, z «Pieśni kosmicznych» Nerudy. Tymczasem, znawca dokładniejszy o wiele literatury czeskiej, p. Z. Przesmycki (Miriam), drukował w «Ateneum» swój przekład «Vitorii Colony», w «Zyciu» tragedję Vrchlicky'ego «Drahomirę», wydawał całkowite tłómaczenie zbioru najprzedniejszych, o ile sądzić mogę, poezyj Vrchlicky'ego («Duch i świat»), a jeżeli nie wymieniam licznych przekładów M. Konopnickiej, samego p. Grabowskiego

i innych naszych czechosłow, które mniej więcej znam wszystkie, to dlatego, że bibliografia nie rzecz listu tego przeładowywać. Przed laty kilku, śmiało rzecz moge, była literatura czeska u nas — w modzie. Tłumaczono, dawano sprawozdania, wydawano dzieje czeskiego piśmiennictwa, pierwszy czesko-polski słownik. Powoli moda ta słabnąć zaczęła. I na tę chwilę właśnie przypadły pierwsze moje odwiedzin — Pragi czeskiej. O ile literatura czeska chwili obecnej, pomimo jej olbrzymiego rozwoju błada stopniowo w oczach moich, o tyle podziw dla narodu czeskiego — wzrastał; choć wierzyć proszę, zem nie patrzył wcale przez okulary laskawych moich po Pradze przewodników, czcigodnego posła Tonnera, lub serdecznego przyjaciela naszego Kvapila.

I p. Grabowskiemu, tak dokładnemu znawcy wszystkiego co czechów wogóle dotyczy, wierzę chętnie na słowo, że mają czesi instytucje wzorowe, że posiadają istotnych filantropów i patriotów, że ruch wydawniczy w Czechach jest ogromny, że w wielu rodzajach piśmiennictwa czesi nas prześcignęli, że nie mamy takich jak oni dzieł naukowych, że wydawnictw dla ludu nie posiadamy takich jak czesi, że naród jest poważniejszy, że zdobyli sobie czesi dobrobyt materialny, że rozwój umysłowy u nich coraz szerzej przenika warstwy społeczne i t. d., i t. d. Ja wspominałem tylko — jak sądzi p. Grabowski z nazbyt małym uszanowaniem — o poezji. Otóż gołosłowne zapewnienia p. Grabowskiego nie przekonały mnie, że czesi mają poezję, mogącą wylegitymować się z posiadania mistrzów słowa i myśli równych Mickiewiczowi, Słowackiemu, Krasińskiemu, Syrokomli, Polowi, Lenartowiczowi, Ujejskiemu, Zaleskiemu, Asnykowi, Konopnickiej. Wyczytuje tylko argument, że czeskie utwory poetyckie, «ukazują się w obfitości wielkiej, w ozdobnych, wytwornych wydaniach i rozchodzą się tysiącami egzemplarzy». Niestety, mam dotąd u siebie bardzo wytworne, nie pamiętam które, wydanie poezji takiego np. Sładka i — niech p. Grabowski nie wymaga abym doń zajrzał kiedykolwiek jeszcze. Tedy wykwint typograficzny i poczytność za kryterjum istotnej wartości dzieła służyć nie mogą. Wszak w Anglii rozchodzi się taka moc niezliczona powieści... a cóż one warte? Wszak Francja produkuje rokrocznie przerażającą ilość beletrystyki, tak wydanej, że satysfakcja oglądać — okładki, a cóż warta ta przeciętna dzisiejsza beletrystyka francuzka? Pisze p. Grabowski: «tyle wspaniałych wierszy lirycznych i epicznych Vrchlicky'ego przełożono na język polski». Znam te przekłady i część sporą oryginałów tychże tłumaczeń. Jeżeli p. Grabowski chce mnie istotnie przekonać, niech powie raczej: «wiele wspaniałych poezji Vrchlicky'ego nie przetłumaczono jeszcze na język polski», niech da choć jedną cytate, a chętnie uwierzę, że nie znamy tego, co najlepszą część twórczości poetyckiej Vrchlicky'ego stanowi.

Pisze p. Grabowski: «Jednoaktowa komedia Vrchlicky'ego «W becze Diogenesa» doznała na scenach czeskich doskonałego przyjęcia», a że na scenie naszej upadła, dowodzi to tylko złego gustu krytyki naszej i publiczności. Za pozwoleniem. Dlaczegoż koniecznie złym ma być gust krytyki naszej i publiczności nie zaś zła — komedia Vrchlicky'ego? Może piękności jej nie potrafiliśmy odczuć, albowiem — jak na to silny kładzie nacisk p. Grabowski — smak nam zepsuły utwory sceniczne z dzisiejszego repertuaru paryzkiego, oraz błazeńska operetka?... No, pro-

szę. Odczuliśmy jednak doskonale piękność «Nory» Ibsena, i «Honora» Sudermanna, któremi zachwycali się i krytyka nasza i publiczność, a przecież Ibsen i Sudermann nic, zda się, wspólnego nie mają z Meilhac'iem lub Becque'iem, z Millöckerelem lub Sullivanem. Natomiast zdarzyło mi się widzieć na scenie wielkiego czeskiego «Divadla» ogromnie naiwną sztukę czarodziejską «Podróż dokoła świata w 80 dni», dekoracje były przepyszne ale koncepta niezmiernie niewyszukane. Jednak koncepta te oklaskiwała gorąco publiczność — publiczność co prawda w perkalkowych spodniczkach i marynarkach z grubego sukna. Otóż, że komedia «W becze Diogenesa», w której «klasycyzmu» ani śladu, a niesmacznych pomysłów sporo, wygrała sprawę przed areopagiem takiej publiczności — nie dziw; nie dziw również że niepodobała się publiczności naszego teatru Rozmaitości, zwłaszcza publiczności pierwszych przedstawień, co «Mojej kuzynce» przyglądać się będzie ochotnie, ale pospolitości, płaskości i niezręczności na scenie, nie zniesie. Ateńczykami nie jesteśmy, prawda, ale niech się też p. Grabowski nie powołuje na autorytet sądu takich ateńczyków jak — publiczność czeska.

Stosuje się to samo do wystawionego u nas dramatycznego obrazka Vrchlicky'ego «Do życia». Tendencja bardzo zacna, bardzo budująca, ani słowa. Ale czy dlatego mamy dziś jeszcze zachwycać się i gustować w takiej «Amelja matką» Hofmanowej, że książka to budująca wielce i zacna ożywiona tendencją? Nie czytamy już również bardzo cennego romansu p. t. «Malwina, czyli domysłność serca» — co mówię, nie radziłbym nawet wznawiać teatrowi naszemu «Barbary» Felińskiego. Dlaczego? Dlatego, że po «Bez dogmatu» już nam nie smakuje «Malwina» a po Ibsenie i Sudermanie, ba, nawet po Dumasie lub Angierze, niepodobna gustować w deklamacjach, zarówno Felińskiego jak... Vrchlicky'ego. Zapewnia p. Grabowski, że jego «Hippodamia» właśnie w tej chwili święci na scenie prazkiej rzetelne tryumfy. Wierzę na słowo i nie dziwię się wcale. Wszak wydaliśmy całą spuściznę Fredry starego, ale nie cała ona poszła — i bardzo słusznie — na scenę. Mógł przeto Fredro obok arcydzieł napisać ramotę, ale któżby wymagał aby nietylko u nas ale i hen, daleko, zachwycało się ramotą Fredry dlatego, że... «Zemsta za mur graniczny» święci właśnie rzetelne tryumfy? Wreszcie — sam p. Br. Grabowski nie staje w obronie «Beczki Diogenesa» oraz «Do życia», ale powtarza tylko oburzenie i dziwowanie się — czechów; zaś ujmując się za czeskich poetów, zestawionych przeze mnie z drugorzędniemi naszymi poetami z mickiewiczowskiej epoki, odpowiada mi tylko: nie znacie ich lub znacie zbyt pobieżnie! Przyznam szczerze, że wolałbym wyczytać w liście p. Grabowskiego choć parę nazwisk i parę tytułów owych dzieł zapoznanych.

W Czechach — pisze p. Grabowski — «ludzie z warsztatów, fabryk, kantorów, sklepów, odczytują długie poematy osnute na tematach narodowych, słowiańskich, antycznych, średniowiecznych, renesansowych...» Bardzo pięknie, chwali się im to zamilowanie do literatury ale — wybaczy mi p. Grabowski — w żaden sposób nie mogę ztąd jeszcze nabrać przekonania, że ludzie ci wszyscy czytają — same arcydzieła. «Już księżyc zaszedł, psy się uspiły» była to u nas piosenka ogromnie popularna, ale doprawdy, trudno dla tej popularności przyznać jej wyższość, dajmy na to, nad poematem Scheley'a, którego dzieł

nawet w hypercywilizowanej Anglii nie czytają ludzie z warsztatów, fabryk, kantorów i t. p.

I jeszcze jedno. Ponieważ operetka «Ptasznik z Tyrolu» miała na scenie warszawskiego «Małego teatru» sto przedstawień, wyprowadza ztąd wniosek p. Grabowski, że my li tylko w operetce gustować jesteśmy w stanie i że innego piękna (przypuszczam: antycznego, średniowiecznego, renesansowego, lub myśli podniosłych z «Do życia») odczuć nie potrafimy. Mam na to krótką odpowiedź. Oto dziś w Paryżu modnemi są sceniczne... pantominy, widowiska okrutnie niemądre, stokroć niemądrzejsze niż operetka, tak rzetelnie znieawidzona przez pana G. A jednak czy wolno nam wyciągać śmiały ztąd wniosek, że Paryż li tylko w pantominach gustuje i że francuzi wogóle nie są już w stanie odczuć szlachetniejszych objawów piękna artystycznego? Chyba na wniosek taki nikt się nie zgodzi.

In summa: Nietylko życzę narodowi czeskiemu wszelkiego dobra, a dzielnemu rozwojowi umysłowemu i społecznemu w Czechach wszelkiej pomyślności, nietylko literaturą czeską nie śniło mi się lekceważyć, ale starałem się w miarę możliwości i sił piśmiennictwo czeskie, zwłaszcza najbliższe mi obchodzących przedstawicieli poezji czeskiej, poznać dokładnie. Że zachwycać się płodami czeskiej poezji nie potrafiłem w tej mierze, w jakiej zachwycać się poezją niemiecką, polską, angielską lub francuzką, nie szowinizm mój temu winien, winna temu pewna rafinerja, powiem: sybarytyzm w rozkoszach estetycznych, wyrobiony przez obcowanie z dziełami najcelniejszych przedstawicieli nowożytnych prądów w literaturze świata na schyłku XIX wieku. Przyznaje sam p. Grabowski, że «w literaturze i sztuce czechom wiele jeszcze braknie». A jednak ręczę, że gdybyśmy przerzucili dyskusję na pole sztuki, dajmy na to, malarskiej, ręczę, że zachęcałby mnie do zachwycać się obrazami Brozika, dlatego, że raz: czesi wysoko cenią Brozika, a powtóre: dlatego, że czesi... wyrabiają szkła znakomite! Mogą czesi wyrabiać szkła znakomite, podobnie jak znakomicie umieją wytwarzać przeróżne spółki, pisać wyborne dzieła i dziełka ludowe oraz «uprawiać własne krajoznawstwo» — ale przez to miernym obrazom Brozika ani jedna zaleta nie przybędzie.

Cześnik.

## GORZKIE ŻALE.

Kijów, w grudniu.

Wycieczka p. Bałakirewa, której rozpisuje się p. Cz. Jankowski \*) w ostatnim N-rze «Kraju», jak również wynikła z tej wycieczki gawęda o muzeum Szopena, pobudziła krytyków warszawskich do «rumieńców wstydu», «bicia się w piersi» i t. p. objawów skruchy patriotycznej. Są to, doprawdy, utyskiwania starej panny bez cienia inicjatywy.

P. Bałakirew nastąpił mimochodem na mrowisko, a jego podziwienie, z przyczyny rozmaitych anomalij pośród muzycznych stosunków Warszawy, dotyka, zdaniem naszym, nie tyle samą kwestję muzeum Szopena, ile bardziej rozciąglą tkaninę warunków, w jakich się sztuka muzyczna polska znajduje.

\*) P. Jank. niesłusznie nazywa p. Bałakirewa dyrektorem orkiestry dworskiej; p. B. jest dyrektorem instytutu piewów nadwornych («piew-czeska kapella»), których produkcje chóralne Berlioz nazywa jedynymi w Europie. (Przyp. aut.)



Gdyby p. B. dłużej i baczniej się przyglądał, przeszedłby niezawodnie od podziwu do nuzn — mniej jeszcze przez nas pożądanym.

Czemkolwiek bowiem zechcianoby tłómaczyć wielką z pozorów ruchliwość muzycznej Warszawy, a w rzeczywistości — jej śpiączkę i jednostronne odurzenie «wysokimi cisłami» i wszystkim, co do tej samej kategorii wrażeń estetycznych należy, — biją w oczy rdzennej natury fakty, których zszeregowanie jest celem niniejszych luźnych uwag. Do faktów tych zaliczam: 1) zupełny brak ruchu wydawniczego; 2) stronniczy kierunek zarządu teatralnego; 3) błędzący po manowcach smak publiczności.

Ze ruch wydawniczy u nas jest żaden prawie, tego, zdaje mi się, nikt zaprzeczyć nie powinien. Oprócz śpiewów solowych pióra dawniejszych naszych i współczesnych kompozytorów: Żeleńskiego, Noskowskiego, Zarzyckiego, że innych nie wymienię, co nie jest muzyką taneczną albo szablonowym romansem, bez artystycznej wartości, to nakładców w kraju nie znajduje. Przedruki rozmaitych Denzów, Tostich i t. p. wyperfumowanych motylów zagranicznych, których życie «jedną chwilką», wreszcie — wyjątki z głośniejszych oper — oto przeważny balast naszych wydawnictw.

Że istnieją partycje fortepianowe, nie wszystkich zresztą, utworów Moniuszki, to zarzutu nie obala; proszę przejrzeć katalogi nakładców: gdzie muzyka kameralna? gdzie partytury orkiestrowe? gdzie chóry — jeśli pominąć wydawnictwo «Lutni», występującej w roli nakładcy ze szlachetnego amatorstwa tylko?

Kompozytorowie żyjący radzą sobie jako tako, uciekają się do wydawców zagranicznych; z dziełami wielkich nieboszczyków jest gorzej — nie ma komu opiekować się niemi. A jednak p. Balakirew ma słusność dziwiąc się, że partytur Moniuszki w druku nie posiadamy; do niedawna ruch wydawniczy w Rosji nie był jeszcze do tyła rozwiniętym, jak jest w chwili obecnej, ale w Rosji — znaleźli się ludzie entuzjastycznej woli — którzy wzięli inicjatywę na swoje barki, i tym właśnie inicjatorom prywatnym zawdzięcza publiczność ruska wspaniałe edycje dzieł Glinki i wielu innych. P. Balakirew mógłby o tem nie jedno powiedzieć, bo był jednym z głównych czynników w sprawie uchronienia od zagłady ruskich arcydzieł narodowych. Czy za przykładem poszli nakładcy ruscy, w nadziejach zysku, czy może pewne poczucie obowiązków, względem sztuki krajowej w nich się zbudziło, dość — że dziś firmy takie jak: Jurgenson, Bessel, Büttner, że nie wspomną o mecenasostwie pana Bielajewa — już mają po za sobą zasługi. Czajkowski, znany na obu półkulach, drukuje swe utwory wyłącznie prawie w Moskwie. Tak samo się ma z innymi kompozytorami ruskimi. Nie potrzebują oni szukać obcych bogów, bo mają swoich.

Co się tycze opery warszawskiej, to zarząd jej od dawien dawna hołdował importowanej muzyce. Przypomnijmy sobie, że Moniuszko skarżył się przed wielu laty, iż «scena nasza, obarczona gośćmi, nie ma czasu o swoich sztukach pamiętać». Oczywiście stosował to zarówno do wykonawców jak i do kompozytorów. Zjawił się przed kilku laty Żeleńskiego «Konrad Wallenrod», dzieło przepyszne, jak utrzymują ci, którzy mieli sposobność słyszenia go na scenach galicyjskich; czy teatr warszawski pokusił się o pozyskanie «Konrada» dla siebie. Chwalony «Mazepa» pana Münchheimera też wstępu nie znajduje. Jedyne nakoniec opery polskiego pióra, śpiewane na scenie warszawskiej, t. j. moniuszkowskie — do niedawna traktowane były jak kopciuszki. Nie ceremonjowano się tu wcale ani pod względem odwiecznych dekoracji i kostjumów, ani pod względem wyboru sił wokalnych. Specjalnem ich przeznaczeniem było zapychanie dziur reper-

tuaru operowego. Wszakże i na otwarcie odnowionego teatru Wielkiego zaproszono wiochów, *nb.* wcale nie pierwszorzędnej próby, i uraczono słuchaczy aktem włoskiej opery. Nie należąc do tak zdecydowanych antagonistów włoszczyzny, jak p. Balakirew, przyznac muszę, że w danej chwili wybór mógł być o wiele stosowniejszym.

Dlaczego teatr warszawski tak postępuje, a nie inaczej? Odpowiedź łatwa; trudno ją jednak dać wprost p. Balakirewowi; niechaj się domyśli.

Publiczność warszawska nie wiele się różni od publiczności innych miast większych; jest może bardziej jeszcze roztrzępaną, nowości żądną, ze smakiem doszczętnie zbalamuconym. Dowodem koncerty symfoniczne lub kompozytorskie — pustkami zazwyczaj świecące. Kierownictwo jednak smaku publiczności z urzędu należy zarówno do teatru jak i do krytyki miejscowej. Teatr nie robi pod tym względem nic prawie, krytyka mało co więcej. Nawołuje czasem głosem zbolalym — ale w rezultacie wytwarza się z tego wszystkiego «*circulus vitiosus*», w którym publiczność, teatr, wydawcy i krytycy pływają razem ku wspólnej nieszczęśliwej, ale ku zdumieniu oczu patrzących na to zrzadka albo przypadkowo.

Ci sami panowie, którzy obecnie ukrywają rumieńce lub się w piersi biją, za dużo czasu tracą na gawędy estetyczne, nie zawsze nawet oparte na gruntownem wykształceniu specjalnem (z wyjątkami naturalnie). Przekładami obcych dzieł wartościowych, o muzyce traktujących, zasilają bardzo ubogo naszą literaturę muzyczną, oryginalnych studjów nie piszą (znowu nieliczne wyjątki). Czy nie jest ich rzeczą zajęcie się sprawami tego rodzaju, jak właśnie muzeum Szopena, albo inicjatywa wydawnictw dzieł pomnikowych?

Nie należąc do rzędu ludzi, którym bezsilne aspiracje za uczynki starczą, myślę, że wiele z tych braków, za które «rumienić się musimy» przed cudzoziemcami — dałoby się usunąć przy dobrej i wytrwałej woli.

Czy niemożnaby zawiązać czegoś w rodzaju Towarzystwa, czy też spółki nakładowej, którejby, bez nadziei zysków, zajęła się stopniowem ogłaszaniem w druku wszystkiego, co do muzycznej naszej dalszej lub bliższej przeszłości należy, a warte jest uwiecznienia?

Rzucam to pytanie w przestrzeń w nadziei, że je ktoś pochwyti — i zbytecznem zda mi się polemizować zgóry z umysłami, twierdzącymi, że naród nie posiadający jeszcze ani dróg wzorowych, ani wielu innych ulepszeń praktycznych — nie ma prawa na podobne zbytki historyczno-estetycznego rodzaju.

Co komu bliżej serca.

A. B.

## Józef Kenig.

### II.

W roku 1830 jedzie Kenig, pod opiekę dobrego znajomego matki oddany, do Krakowa i umieszczony zostaje u ciotki swej, utrzymującej tam pensję, a w rok potem zdaje już egzamin do trzeciej klasy gimnazjum św. Anny. Nastają czasy zaburzeń. Rozbitki pojawiają się na ulicach Krakowa, a niedługo potem Rydygier zajmuje Kraków. Spotkanie oddziału kawalerji rosyjskiej i baterji, idących ku mostowi na Stradomin, wojska w rynku stojące, krzyżujące się wieści, wreszcie szybki powrót do zwykłego spokoju miasta i okolicy, nie bez wpływu musiały pozostać na wyobraźnię uczniaka, chętnie kręcącego się podówczas między ludźmi, a od czwartej klasy pomagającego ciotce w zajęciach oraz kie-

rującego się o własnych siłach udzielaniem korepetycjami. W 1832 r. na pensyjowego kolegę otrzymuje Kenig, starszego znacznie od siebie, studenta podówczas uniwersytetu, Gustawa Ehrenberga. Do bliższej zżyłości między nimi przychodzi dopiero wtedy, gdy i Kenig, we dwa lata później (1834) kończy z odznaczeniem gimnazjum św. Anny i wstępuje na wszechnicę. Ehrenberg pierwszy zapoznaje go z «Panem Tadeuszem», Kenig zaś, po uwieszeniu przyjaciela i osadzeniu go na zamku, wywdzięcza mu się częstymi odwiedzinami. Uniwersytet krakowski w owe czasy splendorem naukowym nie jaśniał wcale. Oprócz Estreichera (ojca bibliografa), Maszkowskiego i paru innych, najwybitniejsze wśród grona profesorów zajmował miejsce Michał Wiśniewski. Przyłgał doń Kenig, a on zajął się gorliwie wiele obiecującym chłopcem; książki, przez Wiśniewskiego udzielane, pochłaniał Kenig skwapliwie, a umysł nie bystry może, ale głęboki profesora literatury i historii powszechnej wpływ stanowczy wywarł, zwłaszcza na dalsze samodzielne kształcenie się młodzieńca. To też uniwersyteckie wykłady szły swoją drogą, a autodydaktyzm swoją; doszło do tego, że Kenig, chcąc prześcignąć w wiedzy profesora fizyki Markiewicza, kiedyś, z jego własnego upoważnienia, dokończył wykładu lekcji i tak profesora wiadomościami swemi zadziwił, że ten, w bliższe z uczniem swoim weszedłszy stosunki, sam bez rodziny a zamożny wcale, chciał go adeptować. Rozumie się, mowy o tem być nie mogło; jeżeli jednak nie adoptacja, to sukurs pieniężny byłby się przydał wówczas Kenigowi, zapracowującemu się lekcjami za 9 złotych na miesiąc. Do tej epoki odnieść należy wspomnienia Keniga o Chłopickim jenerale, co po wyzdrowieniu czas pędził w Krakowie wcale urozmaicony, wraz z dobranem kółkiem, rej wodzaczem w towarzystwie tańtejszem. Do kółka tego, któremu się skromny student zdala tylko mógł przypatrzeć, należeli: Maurycy Potocki, dwóch hrabiów Mollów, z Infantem rodem, oraz kilku innych zamożnych światowców. Ogniskiem tego kółka był atoli do końca Chłopicki, jak go Kenig zapamiętał, postawy rzucającej się w oczy, duży, otyły, lubiący personą swą imponować.

Ale oto przepracowanie, niezaszanowana choroba, podkopały Keniga młode siły, zaniemógł poważnie; lekarz kazał mu co rychlej na wieś jechać. Ojciec już nie żył (umarł w r. 1831); matka otrzymawszy emeryturę z trudem utrzymywała liczną rodzinę, przesiadując już teraz często w Chrabkowie, niedużej majątności brata swego Teodora w Proszowskiem. Tam też udał się Kenig. Siły wracać zaczęły, czas leciał wśród nowych wrażeń, wiejskich zebrań towarzyskich i wśród planów na przyszłość. Michał Wiśniewski, czuwający nawet zdala nad ulubionym uczniem swoim, czyni mu listownie nader świetną propozycję, mianowicie przyjęcia posady nauczyciela w domu księcia Konstantego Czartoryskiego, zdaje mi się w Sreniawie w Galicji, gdzieby mu pieczę nad dwoma synami księcia oddano. Pensja jak na owe czasy bardzo wysoka nęci z początku młodego akademika, ale oto plan ów rozbiła interwencja wuja Teodora. Ten inne ma projekty. Zdaje mu się właściwszem aby siostrzeniec, ukończywszy nauki w jakimś zakładzie krajowym, poszedł następnie na drogę sądową, rozpoczynając ją od aplikacji w Warszawie. Tak też się i staje. Kenig jedzie do wuja, sprawującego

urząd asesora trybunału w Kielcach i tam za zapracowane w biurze wujowskim pieniądze, rozpoczyna nieodrodną naukę języka ruskiego. Udziela mu jej, zacności wielkiej człowiek, były profesor krzemiecki, Aleksandrowski, o którym dotąd z serdecznością największą zwykł Kenig wspominać. Mniej więcej w drugiej połowie r. 1838 jest już Kenig uczniem ósmej klasy kieleckiej szkoły, a kończy ją z odznaczeniem w r. 1839. Wtedy to właśnie, za staraniem prezesa komisji do spraw wewnętrznych Szypowa, rozpoczęły się w Kielcach pierwsze wykłady w urzędowym języku, Kenigowi atoli trudności żadnych już to nie sprawiało, język ruski znał już tak dobrze, iż nietylko wówczas zapoznał się po raz pierwszy z pismami Gogola, ale i szczerze w nich się rozmyślał. Wakacje spędzał u matki w Chrabkowie — i wakacje owe związane są ze wspomnieniami pierwszej Keniga miłości.

Nadeszła chwila stanowca. Jesienią, roku 1839, jednokonnym wózkiem w towarzystwie brata młodszego, puszcza się Kenig w drogę do Warszawy — po szczęście. Na bruk stołeczny rzucony, szuka zajęcia. Trafia z rekomendacją wuja do rejenta generalnego na Królestwo polskie, p. Engelke; ten ujęty bystrością, wykształceniem i zapalem młodzieńca, ofiaruje mu w biurze swoim posadę z pensją 800 złp. we dwa dni potem Engelke umiera nagle i Kenig pozbawiony oparcia, znajduje się literalnie na bruku z jednym jedynym dukatem w kieszeni. Co począć? Szczęściem dach nad głową daje mu wuj Filip Romanowski, malarz, a lekcje wystarczają na skromne utrzymanie. Lekcyj tych, udziela Kenig sporo. Między innymi i w domu p. naczelnika biura po byłej komisji wojny, Korabiewskiego, w którego domu poznaje wiele wybitnych osobistości z ówczesnego warszawskiego towarzystwa, członków b. armji polskiej, generała Hoffmanna, Lewińskiego, pułkownika Piotra Horzewskiego, rycerza *sans peur et sans reproche*... Lekcje dawane synowi Alberta Grzymały, którym gorliwie opiekuje się ks. namiestnikowa Zajączkowa, uchylają przed nim rąbek świata arystokratycznego; z tła przeróżnych znajomości trwalszych i przelotnych wychodzi we wspomnieniach Keniga sylwetka dzisiejszego ks. arcybiskupa Popiela, podówczas w szkołach będącego. Sądowe aplikacje, jednocześnie pilnie prowadzone, zbliżają go z kolegami w palestranckim terminatorstwie, z Andrzejem Brzezińskim, Wacławem Szymanowskim. Rozszerza się sfera stosunków p. Józefa; miały się one rychło rozszerzyć jeszcze bardziej.

Na Miodowej ulicy, w domu podówczas Tepera, dziś Grabowskiego, mieściła się mała, niepokazna księgareńka Steinbocka. Tam, w izbie za sklepem, zbierało się gronko młodzieży, tworzącej ówczesną, dobrze znaną z licznych o niej wspomnień, t. zw. «cyganerję» literacką. Do gronka tego wmieszany, poznaje Kenig Fileborna, zakładającego podówczas «Nadwiślanina», i do tegoż «Nadwiślanina» daje pierwszą swą autorską pracę, powiastkę pod tytułem «Konik zwierzyńceki». Było to lat temu pięćdziesiąt, na początku 1841 roku. Budziłowicz wydaje inne małe pisemko: «Przegląd warszawski», i w jego domu schodzi się Kenig z najwybitniejszym przedstawicielem «cyganerji», z wysoce uzdolnionym poetą, Cyprjanem Norwidem. W świecie ówczesnym literackim zajmuje też wybitne miejsce Chojecki (Charles-Edmond). Autor «Alkadara» pozuje nieco na wielkiego pana, który się literaturą — bawi; w miesz-

kanku jego, w Malcza domu, zbierają się na ożywione herbatki i cyganie i niecyganie; usługuje «kozaczek» w liberji, a w mieszkaniu chłód wściekły i w poczęstunku serdelek tak ważną często odgrywa rolę, jak na biesiadach sporządzanych za zastawione szelki lub płaszcz dziurawy. U Chojeckiego poznaje Kenig Bartelsa, Wójcickiego; przez Wójcickiego wchodzi w stosunek z «Biblioteką Warszawską», na której posiedzeniach redakcyjnych u Szabrańskiego bywa czasami. Otwierają się przed nim salony hr. Łubieńskiego i p. Niny Łuszczewskiej. Pierwszy publicystyczny artykuł, zamieszczony w «Gazecie Warszawskiej» p. t. «Dandyzm warszawski», dotykający aluzjami wielu osób z warszawskiego towarzystwa, godzący jednocześnie w znaną artystkę baletu, wywołuje sensację w mieście i zwraca uwagę na debiutującego pisarza. Lesznowski Antoni, stryj dzisiejszego wydawcy i redaktora «Gazety Warszawskiej», korzysta ze współpracownictwa Keniga, zamieszczając artykuły jego, przeważnie sprawozdawcze, np. o «Mieszaniach» Jarosza Bejły. Zwraca się też do niego redaktor «Kurjera Warszawskiego», Dmuszewski, ofiarowując mu za każdy, krótszy lub dłuższy artykuł — rubla. Lekcje, dorywcza dziennikarska praca, czasem obiad lub śniadanie, ofiarowane przez wydawcę jako honorarium za artykuł, wystarczają na skromne utrzymanie. Czas zabierają posiedzenia w kółku «cyganerji», wizyty po salonach i — czytanie, czytanie, czytanie. Ci, którzy Keniga z owej epoki pamiętają, wspominają o nim jako o młodzieńcu eleganckiej powierzchowności, ujmującego obejścia się, jednającego sobie ludzi, lgnącego łatwo do nich, dbałego zawsze o wykwinną chustkę fularową w kieszeni — zazwyczaj rozpaczliwie pustej. Na ów czas przypada pierwszy debiut Deotymy w salonie matki. Wieczór ów pamięta Kenig doskonale. Uroczystość owego wejścia w świat cudownej pani, przypadła jednocześnie z wystawieniem w salonie pani Łuszczewskiej... «Fausta» ks. Radziwiłła, amatorskimi siłami. Partję Małgorzaty śpiewała Kurtzowa, Mefista — Wolski Włodzimierz, a zaś w chórach, między basami, znaleźli się: Kenig, Edward Leo (dzisiejszy redaktor «Gazety Polskiej») i Komorowski, «śpiewak Kaliny». O pierwszym tym występie Deotymy pisał, pod świeżym wrażeniem, sam Kenig w «Gazecie Warszawskiej». Gdy dodamy, że i świat finansowy, z domem Leopolda Kronenberga na czele, miał z Keniga stałego gościa, nie przesadzimy twierdząc, że pisać biografję tego człowieka, który wszystkich znał i wszystko widział i tak wiele pamięta, znaczyłoby pisać — kronikę życia społeczno-polityczno-artystyczno-literackiego Warszawy z przed laty... Ograniczmy się tylko na szczegółach.

Szerokie miejsce w trybie życia Keniga zajmował już podówczas teatr. Artykuł «Dandyzm warszawski» otworzył mu kulisy. Był to czas właśnie, kiedy balet wszechwładnie panował na warszawskiej scenie. Pisano o nim i mówiono chyba nie mniej, niż dziś pisze się i mówi o komedji lub operze. Balet był świetny — opera licha. Chcąc tę ostatnią podnieść, sprowadzono w 1843 roku trupe włoską, która pierwsza zapoznała Warszawę z Donizettim, Belinim, z «Lukrecją», z «Normą». Gdy atoli włosi odjechali, trzeba było znów starać się o nową dla teatru atrakcję. Wtedy to na gościnne występy do Warszawy przybyła Lola Montes, głosząca nietylko z choreograficznych swych zdol-

ności ile z awantury, której świeżo była bohaterką na rewji królewskiej w Berlinie. Niezmiernie piękna, ekscentryczna, szalona, przyszła władczyni Bawarji — tańczyć nie umiała wcale. Pisał o jej występie Kenig chłodno bardzo; jeszcze chłodniej przyjęła ją publiczność. Tedy, stanowisko Rautenstracha zajmujący pułkownik Abrahamowicz, postanowił zerwać z nią kontrakt. Lola odpowiada na to grubiaństwem, rzuconem ze sceny wprost ku łozę swego przeciwnika, wymieniając go po nazwisku. Nazajutrz wieczorem zajęła kareta przed hotel Rzymski, w którym mieszkała piękna, ale zbyt popędliwa Lola; niezmiernie grzeczny urzędnik wszedł na górę prosząc najuprzejmiej, aby najszybszym baletowym krokiem raczyła panna Montes niezwłocznie opuścić Warszawę. Kenig był właśnie u niej i świadkiem był gwałtownej sceny między Lolą a konsulem francuzkim, którego błagała o zasłonięcie jej — sztandarem Francji. Konsul mógł, co najwięcej, ofiarować jej tylko — ramię do karety. Tak się też i stało. Paru zapalczywszych adoratorów popędziło za piękną młodą damą, ale zapal ich ostygł, wcale niedobrowolnie, o mil kilka za Warszawą. Takim był krótki, a burzliwy popas Loli Montes w Warszawie.

Tymczasem Kenig już stale, od 1843 roku, prowadzić zaczął dział politycznych przeglądów w «Gazecie Warszawskiej». Zadanie trudnem nie było. Brało się to i owo z zagranicznych gazet, przychodzących do Warszawy regularnie — dwa razy na tydzień. Przeglądy bezwarwne były wielce. Resztę «Gazety» zapełniało się tłumaczeniami artykułów z «Revue des deux mondes», jakimś urywkiem z dzieła świeższego Micheleta... Nad dostarczaniem tych ostatnich materiałów czuwał sam Lesznowski, nie bawiąc się, bardzo słusznie, w tworzenie samodzielne. Pensji stałej pobierał Kenig podówczas 30 rs. na miesiąc. Wraz z przybyciem na scenę warszawską słynnej Ristori, obejmuje Kenig sprawozdania teatralne w «Gazecie».

Czesł. Jankowski.

## Z NAD SEKWANY.

Paryż, 29 grudnia.

[Kłótnie pana Cassagnac z nuncjaturą. Nowy prymas francuzkiego kościoła i nowy papież. Śmierć biskupa Freppel. Zgon Alberta Wolffa. Teatr Wolny i Teatr Realistyczny. «La Dupe» pana Ancy. Proces o pogwałcenie wstydlivosti publicznej. Wystawa rzeźb Antopolskiego. Polska «Ameryka» w Paryżu.]

Sprawa «dwunastek tymczasowych» i kłótnia pana de Cassagnac z nuncjaturą, oto cały prawie nasz bilans polityczny za dwa ubiegłe tygodnie. Będziemy mieć «dwunastki tymczasowe» i będziemy mieć podobno drugiego papieża, w osobie pana de Cassagnac. Zamianowanie arcybiskupa z Aix «prymasem kościoła francuzkiego» (*sic!*), obwieszczenie w dzienniku «Autorité», było już wstępem do takowego rozdwojenia papieżkiej władzy. Obecnie pokusił się p. de Cassagnac o wywłaszczenie rzymskiej stolicy z jej przywilejów w innym zakresie. Nietylko dzisiejszy nuncjusz, ks. Ferrata, ale i jego poprzednicy, od s. p. Czackiego zaczynając, nie wywiązują się ze swojego zadania, jak należy. Posyłani nad Sekwanę dla utrzymywania jaknajlepszych możliwie stosunków z miejscowym rządem, myślą oni, iż robić powinni to, po co ich papież posyła. Gruba to pomyłka z ich strony, pochodząca stąd zapewne, iż oglądają się

oni więcej na papieża niż na pana de Cassagnac. Tak być nie powinno. S. p. Czacki zainaugurował w tej materji program, którego następstwem stało się to, że zamiast ująć się ostro za księdzem Gonthesoulard i uchwycić tę okazję dla wypowiedzenia raz wojny na dobre trzeciej rzeczypospolitej, jakby tego chciał pan de Cassagnac, nuncjatura paryzka wzięła się przeciwnie do łagodzenia rozjątrzonych stosunków. Tak być dalej nie może. Usprawiedliwiając swoje postępowanie w półurzędowej nocie, którą ogłosił «Gaulois», nuncjatura odwołała się do wskazówek, otrzymywanych od stolicy apostolskiej. Pan de Cassagnac nie pozostał dłużnym w odpowiedzi. Stolica apostolska jest w Rzymie, a redakcja dziennika «Autorité» jest w Paryżu, więc Rzym z resztą katolickiego świata dla papieża, a Paryż z Francją dla pana de Cassagnac. Takim jest, jeżeli się nie mylę sens ostatnich artykułów, ogłoszonych przez zapalczego *leadora* prawicy monarchicznej w izbie niższej.

Gdybyż jednak prawica monarchiczna ze swoim *leaderem* była tu sama jedna w robocie! Ale pan de Cassagnac wie, niestety, co robi, występując z taką zamaszystością, i cała sprawa księdza Gonthesoulard ujawniła wyraźnie, iż połowa przynajmniej duchowieństwa tutejszego, zwłaszcza wyższego duchowieństwa, ulega w tej chwili obłędowi, który może nas zaprowadzić do bardzo groźnego przesilenia. Pan de Cassagnac, skarżąc się na to, co się dzieje obecnie w nuncjaturze, przypomina, iż działo się inaczej przed przybyciem s. p. Czackiego. Nie jemu jednemu zapewne przytomnymi są te czasy. Lepiej od niego pamiętają je, a przynajmniej pamiętać powinny zgromadzenia duchowne, którym zamykano równocześnie szkoły i pieczętowano kaplice. Obecnie oo. jezuiti mają po tysiącu uczniów w każdym z trzech swoich zakładów paryzkich. Ale nie wystarcza im to. Widać ich i słyhać ruszających się i poruszających kwestje, których pozostawienie na uboczu byłoby właśnie ich najżywoźniejszym interesem. Jest np. kwestja majątków duchownych. Rząd robi co może, aby nie wywołać tego wilka z lasu. Nuncjatura dopomaga rządowi, jak może. Na nic te usiłowania! Można by tu zastosować łacińskie: «*Quem Jupiter vult perdere...*», gdyby nie było rzeczą grzeszną wspomnieć Jowisza w tej materji.

A dopiero kandydatura arcybiskupa z Aix do izby poselskiej, w zastępstwie zmarłego księdza Freppel! Zgon biskupa z Angers jest już sam przez się w tej chwili ciężką stratą. Mimo zewnętrznej swojej krewkości, zmarły posiadał w wysokim stopniu dar zmysłu politycznego i dyplomatycznego taktu. Tak jak, poufając się ze swoimi kolegami poselskimi, *tykać* się pozwalając i *tykając* ich nawzajem umiał zachowywać swoją godność, tak samo, z całą swoją porywcznością, wiedział zawsze co robi i mówi i najczęściej robił i mówił dobrze. Siedząc po prawej stronie izby, solidaryzował się z prawicą tylko w tych kwestjach, w których widział wspólność interesów. W innych, kwitował z przyjaźni z najzimniejszą krwią i najzupełniejszą swobodą, stawiając spokojnie czoło wyrzutom samego pana de Cassagnac. Trzeba go było widzieć w takich razach wobec tego olbrzyma (proszę sobie wyobrazić warszawskiego Jacka Soplicę, tylko o pół większego jeszcze), ze swoją małą figurką, fioletową czapczką, przechyloną na bakier, i misternym uśmiechem. Z lewicą utrzymywał jak najlepsze

stosunki. Niektórzy z najzapaleńszych radykałów, jak pp.: Madier de Montjean, Clovis Hughues i inni, przepadali za nim; kiedy zaś zdarzało mu się wstąpić na trybunę, dla oświadczenia się kategorycznie za polityką rządową w sprawach kolonialnych, wtedy sami oportuniści nosili go na rękach.

Początek zimy i influenza dały się nam srodze we znaki temi czasy. Nie śmiem powiedzieć, abyśmy stracili wiele, tracąc Alberta Wolffa. Ubył jednak z nim jeden z pierwszorzędných kronikarzy feljetonowych tego czasu. Prawda, że na długi czas już przed zgonem człowieka, można było oplakiwać ubytek talentu. A człowiek był mniej wart, o wiele. Zmarły uchodził w naszym polskim kółku tutejszem za polakożercę. Podobno dlatego, że przyrównał kiedyś jeden z obrazów krakowskiego mistrza («Dzwon zygmunowski») do źle ugotowanej jajecznicy. Była to jednak z jego strony kwestja estetyki, nie zaś etnografji. Narodowościowe sympatje, czy antypatje, małą wogóle rolę odgrywały w życiu tego kolonńskiego żydka. Był to sobie zwykły zawodowy żydek, szukający chleba po świecie. Chleb znalazł tutaj dobry, ale przez długi czas zarabiał nań dobrze. Nie pisał nigdy poprawnie; pisał *lepiej*; miał werwę dziennikarską. Przytem *zmysł aktualności*, węż doskonały i sporo zdrowego sensu. Celował tam, gdzie chodziło o «egzekwowanie» kogoś lub czegoś, jak się tu mówi. Kręcił wtedy bicz z pióra i chlostał na odlew, jak nikt. Świeżo jeszcze udała mu się taka «egzekucja dwóch ustępujących obecnie dyrektorów W. opery». Ale od wielu już lat trafiało mu się to rzadko i coraz rzadziej. Raz dlatego, że robił co innego, a powtóre dlatego, że ta druga robota wyczerpała go fizycznie i moralnie, gotując mu zgon przedwczesny. Handlował obrazami i grał w bakara. Na obrazach zarobił sporo. Mówiono głośno, iż dobywał za darmo, za parę wierszy w każdorocznym sprawozdaniu «salonowym», obrazy nieznaných malarzy, potem reklamował te same obrazy i tych samých malarzy dopóty, dopóki, wyrobiwszy im reputację, nie znalazł możności korzystnego pozbycia się swojej «galerji». Miał z kolei takich «galeryj» kilkanaście. Wiedział zaś co o nich trzymano i gniewało go to srodze. Przed kilkoma laty oburzył się nawet na korespondenta «Kraju», za powtórzenie tej pogłoski i ogłosił ostrą replikę w «Figarze». Ale co malarstwo mu dawało, to zabierał bakar. Przepuściwszy raz, drugi i trzeci przez ręce milionową fortunę, nie zostawił prawie majątku. Po śmierci Augusta Vita, upomniał się o krytykę teatralną w «Figarze», dla jakiego-takiego zarobku, i zarobek ten o śmierć go przyprawił: zajął się w teatrze. Graczem był nieznośnym i postrachem wszystkich klubów. Należał w tym względzie do tak nazywanych tutaj «muzykantów». Skarżył się, gniewał się, lub cieszył się ustawicznie swoim dyszkantowym głosikiem, przypominającym skrzeczenie zająca, dławionego przez chartów, i wykrzykiwał potworną swoją babią fizjognomję. Wogóle, przyjaćiół miał mało. Ale miał dużo zazdrośnych. I to coś znaczy.

Jednocześnie zgasł jego kolega po piórze i współzawodnik w zakresie krytyki teatralnej, Henryk de Lapomeraye. Talent mierny, ale człowiek uczciwy.

Krytyka teatralna miała temi czasy dużo do roboty. W «Teatrze Wolnym» pana Antoine, p. Ancey, wystawił nową pięcioaktową sztukę p. t. «*La Dupe*». Z ca-

łej szkoły dramatycznej, którą p. Antoine jeżeli nie wytworzył to wyprowadził na widownię publiczną, Ancey był dotychczas najogólniej i najlepiej wyróżnionym. Sam Franciszek Sarcey miał dla niego pewną pobłażliwość, i pokładał w nim pewne nadzieje. Pobłażliwość Franciszka Sarcey wzięła obecnie koniec, a nadzieje rozwiąły się. «*La Dupe*» jest historją żony, którą mąż niegodziwy zdradza, ograbia, poniewiera, bije nawet, a która nie przestaje go kochać i poświęcać się dla niego. Nie przez siłę uczucia jednak, ani przez poczucie obowiązku. Przez potrzebę fizyczną. Ta żona jest osobą wysoce nabożną i zarazem wysoce zmyslową. Znalazłszy połączenie, jedyne możliwe, tych dwóch czynników pod mianownikiem małżeństwa, trzyma się ona oburącz tej kombinacji, aż do zgodzenia się na podział małżeńskiej miłości, skąpo sobie wymierzanej, z osobą trzecią. Jest w tej komedji temat nie gorszy od innego i są sceny lepsze od wielu innych, z którymi spotkaliśmy się temi czasy. Wszystko to zepsuł p. Ancey wykonaniem niektórych innych scen, gdzie posunął do ostateczności formułę brutalnej analizy przyswojoną przez jego szkołę.

Nie do ostateczności. Główną wadą tej formuły jest właśnie to, że nie wiadomo gdzie jej kres być może. Obok «Teatru Wolnego» pana Antoine, znalazł się już «Teatr Realistyczny» pana de Chirec i w tym ostatnim teatrze przyszło temi dniami do przedstawienia, wobec którego krytyka dramatyczna zdobyła się na okrzyk grozy, a policja, postawiwszy najpierw wartość honorową u drzwi teatru, zdecydowała się wreszcie wytoczyć dyrekcji proces o pogwałcenie wstydlivosti publicznej.

Mimo dość głośnej reklamy dziennikarskiej, mało wrażenia w świecie artystycznym zrobiła zamykająca się za dni kilka wystawa rzeźb Antokolskiego, które wkrótce odesłane być mają do Petersburga. Utwory te zamierzył już poprzednio wystawić artysta w jednym z *Salonów* tutejszych. *Salon* przestraszył się jednak ich niezwykłej ilości (23 sztuk), artysta zaś nie zgodził się na wycofanie niektórych numerów. Są, między temi, osobno obecnie wystawionemi dziełami, niektóre rzeczy dawniejsze, jak posagi «Iwana Groźnego» i «Piotra W.», których oryginały znajdują się w Ermitażu i w Peterhofie, i niektóre inne, jak «Męczennica chrześcijańska», «Ofelja», «Chrystus na morzu» (projekt latarni morskiej), «Ermak» i t. d. Wobec artysty tej miary, trudno szukać wyraźnego postępu między pojedynczemi objawami plastycznej twórczości, która już przed laty stanęła na wyżynach. Jeszcze trudniej dać miejsce przypuszczeniu, iż między krańcowemi jej występami, dopatrzyło się przeobrażenia w innym, odwrotnym stosunku. Jednak niejednemu z nas zdało się, że potęga wyrazu zaznaczonego w «Iwanie Groźnym» i w «Piotrze», nie odnajduje się w późniejszych utworach. Przy większej misterności wykończenia, widać jakby osłabienie siły duchowej, a zarazem jakby jakieś wyrodzenie plastycznego typu, stojącego przed oczami artysty. «Męczennica chrześcijańska» ma twarz trywjalną, «Ofelja» wygląda na modystkę, która by miała zmartwienia sercowe; «Ermak», mimo całej swej kolosalności, nie robi wrażenia siły, bo jest tylko konwencjonalnym. Widać w nim pozę groźną, nie widać prawdziwej grozy jak w «Iwanie». Słyszeliśmy z własnych ust artysty charakterystykę trzech epok w rozwoju sztuki, tej w której duch ujawnia się bez formy, tej w której forma zlewa się z du-

chem, i tej w której forma zabija ducha. «Ermak» kazał nam myśleć o tej trzeciej epoce.

W naszym polskim kółku tutejszem, zagnieździły się od pewnego czasu dziwaczne obyczaje. Czy to wpływ zaoceanowej naszej emigracji, z którą utrzymujemy niejaki stosunki, czy pielgrzymów, wracających z Brazylii, dość, że dochodzi nas z tej strony, jakby przypomnienie *Far-Westu*. Zarzuceni jesteśmy w tej chwili drukowanymi okólnikami, zdającymi sprawę z jakiegoś niemilego zajścia między pewną liczbą obywateli i obywateli (sic). Bo są tam i obywatelki w robocie. Istoty tego zajścia wyjaśnić nie potrafię dokładnie, ponieważ obok gramatycznych i stylowych, są w zakomunikowanych mi dokumentach i opisowe niedostatki wielorakie. Zdaje się, iż powodem pierwszym całej awantury, stały się oskarżenia, które obywatel L., członek «Związku», wymierzył przeciwko obywatelom i obywatelkom, należącym do zarządu «Bratniej pomocy». «Związek» nie uznał zasadności oskarżeń swojego współtowarzysza. Obywatel L., niezadowolony, dopuścił się obelg czynnych na osobie obywatela S. Obywatel S. upomniał się o zwołanie sądu honorowego, który to sąd, złożony z całego kompletu sędziów i sędzin (sic), rozciągnął swoją jurysdykcję nad całym gronem obywateli i obywateli. Między sędzinami zajęła miejsce znana publicystka, pani Marja Szeliga-Loevy. Aliści pod sądny obywatel L., po wyczerpaniu argumentów ustnych, uciekł się znowu, wobec sądu, do argumentów czynnych na osobie jednego z powołanych świadków, wobec tej niesprawiedliwości, superarbitr—bo był tam i superarbitr—zawyrokoował rozwiązanie sądu. Sędzia D. oświadczył swoją solidarność z superarbitrem, ale sędzina S. zaprotestowała. Czekamy dalszych cyrkularzy dla wiadomości, co się później stało.

Nemo.

## POSŁUCHANIE U OJCA ŚW.

W tych dniach otrzymał u Leona XIII audjencję znany współpracownik pisma «Berl. Tageblatt», Eugenjusz Wolf, gorliwy katolik, który z niemieckich posiadłości w Afryce, wydany został przez władz miejscowe. «Birzewyja Wiedomości» podały opis tego przyjęcia w tłumaczeniu bezimiennem—bez wskazówek bliższych, tak, iż mogłoby się wydawać, że zamiast jednego były dwa posłuchania. Podajemy niektóre ustępy z ciekawych tych dotatek:

«Pokój, w którym mię ojciec św. przyjął—płaz sprawozdawca «Berl. Tageblatt»—był małym i skromnie umeblowanym. Ściany obite czerwonym adamaszkiem. Papież siedział w drugim rogu pokoju na nieco podwyższonym fotelu i miał oblicze zwrócone do okna. Po pierwszym, ceremonjalnym przepisaniem, głębokim ukłonie, bezpośrednio po przestąpieniu progu i po drugim głębokim ukłonie na środku pokoju, zbliżyłem się do papieża, który powstał i chciał podejść ku mnie. Aby temu przeszkodzić, przyspieszyłem kroku i ukłakłem przed potężnym władcą kościoła. Ojciec św. jednakże podał mi natchmiał i wskazał mi miejsce obok siebie. Podsunąłem krzesło i usiadłem blisko fotela papieżkiego, na co jego świątobliwość dobrotliwie się uśmiechnął. Wyznać muszę, że w tej chwili, mimo czerwonych mebli, czerwonego obicia ścian, czerwonego plafonu, czerwonego kobierca, było mi biało w oczach. Widziałem tylko papieża, który zdawał się prześlanąć wszystko, tak iż w moim umyśle było wrażenie, które mnie ogarnęło.

Biała atlasowa czapeczka, z pod której wysunęły się srebrne włosy, pokrywała głowę władcy kościoła; ubranym był w białą, miękką, wełnianą materję, umyślnie dla niego wyrobioną; delikatne, prawie przezroczyste ręce, okryte były półrękawiczkami. Pantofle z czerwonego aksamitu, zdobne skromnym złotym haftem. Na szyi zawieszony drogi łańcuch, z którego zwisał się krzyż, bogato drogiemi kamieniami sadzony. Na wskazującym palcu prawej ręki papieżki pierścień—pierścień rybaka, który po śmierci papieża jeden z kardynałów, w obecności wszystkich innych, młotem rozbija. Na obliczu papieża widać długie zamknięcie w pokojach. Srebrne włosy jak lzy padają na blade, prawie przezroczyste, wychudłe oblicze papieża. Jakkolwiek jednak ciało papieża zdaje się być słabem, duch jego jest mocnym. Małe brunatne oczy są ustawicznie ożywione i w ciągłym ruchu. W czasie zwykłej rozmowy łagodnie patrzy one na mówiącego, ale zapalają się gdy rozmowa poruszy temat bardziej zajmujący papieża. W takiej chwili papież o dziesiątki lat młodszym się wydaje... Ojciec św. rozpoczął natychmiał mówić o sprawie, która mnie do niego przyprzewadziła. Chodziło o misje katolickie w Afryce wschodniej. W krótkości przedłożyłem moje *exposé*. Ale ojciec św. okazał w tych sprawach olbrzymią pamięć, dokładną znajomość wszystkich stosunków, o których wspominałem i szczególne zainteresowanie się moim krótkim opowiadaniem, tak, że sprawę ponownie ze wszystkimi szczegółami opowiadać musiałem. A na każdy szczegół odpowiadał mi papież z taką pewnością, logiką i znajomością sprawy, jakiej u zwykłych śmiertelników zazwyczaj się nie spotyka... W dalszym ciągu swej rozmowy, do której mieszał wiele słów niemieckich i wyraźnie je wymawiał, wspominał ojciec św. o odwiedzinach cesarza niemieckiego i kwestji robotniczej. Wielką uwagę zwracał szczególnie na sprawy misyjne i im większą część swej rozmowy poświęcił. Nawet na niekatolika łagodna, piękna postać papieża wielkie musi sprawić wrażenie. Gdy odchodząc zgiąłem pokornie przed jego świątobliwością kolana i ucałowałem podaną mi rękę, Leon XIII, życząc mi długiego życia, położył swą rękę na mojej głowie i pobłogosławił mnie słowami: «*Je vous bénis*». Dzień ten był najpiękniejszym w moim życiu».

Tyle we właściwym sprawozdaniu samego p. Eugenjusza Wolfa, jak ono powtórzone zostało w pismach polskich. W «Birzewyjach Wied.» opis powyższy znacznie rozszerzonym został stylowo, tudzież dopełniony niektórymi drobnymi szczegółami. Czytamy np.:

«Na wskazującym palcu prawej ręki—pierścień papieżki: szmaragd wielkości małego orzecha lakowego, otoczony starymi brazylijskimi brylantami najczystszej wody. (Pierścień ten, jak wiadomo, zaraz po śmierci papieża rozbija na drobne kawałki najstarszy z obecnych w Rzymie kardynałów, w obecności tych ostatnich). Z poza białego pasa atlasowego widać było część złotej tabakierki, z której papież w czasie rozmowy, z widocznym zadowoleniem zażywał tabakę».

Inny warjant opowiadania «Birz. Wiedom. »:

«Jego świątobliwość przyjaźnie mnie powitał głosem pełnym, piersiowym, i natychmiał zwrócił się do przedmiotu, który był przyczyną audjencji. Uprzedzono mnie, ażebym rzecz wyłożył możliwie krótko, gdyż zmęczyła papieża długa audjencja kardynała Monaco, a miał jeszcze przyjąć posła francuskiego. Nadto, zdawało się, że widział w *Anticamera secreta* kardynałów di-Binde, arcybiskupa benewenckiego i Gruscha, arcybiskupa wiedeńskiego, którzy pragnęli widzieć się z papieżem jeszcze przed obiadem. W krótkości wyłożyłem papieżowi swoje poglądy, ale w opowiadaniu zupełnie zapomniałem o papieżu. Jego świątobliwość wykazał nie tylko świetną pamięć wypadków, które się zdarzyły przed wielu laty, ale i żywe zainteresowania się tem, o com mówił».

Zaznaczymy jeszcze z «Birz. Wied.» drobniutki następujące:

«Odżywia się ojciec św. bardzo słabo. Jakkolwiek wstaje bardzo wcześnie i zdąży rankiem przejrzeć całe stopy gazet, dopiero około 10 godziny, przed samymi audjencjami, wypija filiżankę czarnej kawy. Obiada o godzinie 2, a cały posiłek składa się z zupy i jednej zwyczajnej potrawy; wieczorem ojciec św. znów spożywa talerz zupy. Oto są wszystkie jego rozkosze życia, a pomimo to mówią: «papież doskonale pędzi życie». Być może, że właśnie to umiarkowanie tak doskonale wpływa na zdrowie papieża, pomimo lat i innych okoliczności stanowczo dlań nieprzyjaznych. Gdyby mnie spytano ile jeszcze lat żyć może papież, bez wahania odpowiedziałbym, że dożyje do lat 92 a może i do 100. Leon XIII jest chudy, blade, powściągliwy; posiada jednak obfity zasób sił żywotnych; przynajmniej takie wrażenie sprawił na mnie. Kardynał Monaco mówił z jego świątobliwością półtorej godziny, ja rozmawiałem godzinę, a potem papież przyjmował jeszcze posłów zagranicznych i inne osoby. Ażeby znieść to wszystko 82-letni starzec musi posiadać zdrowe ciało i silnego ducha».

## Polscy emigranci w Brazylii.

Z dwóch listów ks. Dziadkiewca, zarządcy parafji polskiej w kolonii Abramhes pod miastem Curitiba w Brazylii, pisanych w czerwcu i listopadzie b. r., do jednego z przyjaciół swych księży w tarnowskiej diecezji, podajemy następujące wyjątki:

«Polaków w całej Brazylii, wielkiej jak Europa bez Anglii, jest w 20 prowincjach przeszło 160,000, ale tak rozrzuconych, że trudno ich odnaleźć. Najwięcej jest ich w prowincji Parana, gdzie w okolicach miasta Curitiba (30,000 mieszkańców), założyli przed 13 laty pięć kolonij, mianowicie: Campo Comprido—5,000 dusz, kapłanem jest ks. Michał Przytarski, kaszuba; Abramhes 6.000 dusz, kościół murowany, nędzny, kapłanem był do 18 lipca b. r. ks. Franciszek Gurawski, od 4 sierpnia ks. Dziadkowiec; Thomas Coelho św. Michała—4,000 dusz, kapłanem ks. Franciszek Soja z Galicji; Thomas Coelho, Matki Bożej bolesnej 5,000 dusz, kapłanem ks. Kazimierz Andrzejewski z Krakowa; Muricy—873 dusze z pod Gorlic, Jasła, Grybowa, Poznania, wierz z filją Zacharias, 500 dusz z Górnego Szlaska, kościółek filjalny, drewniany, kapłanem do 18 lipca b. r., ks. Dziadkowiec, który w Muricy na miejscu małej kaplicy rozpoczął budować murowany gotycki kościółek Najświętszego Jezusowego. Wszystkie te kolonie, rozrzucone na przestrzeni 20 mil. w promieniu, zostają pod zarządem ks. biskupa wikariusza jen. z Curitiba. Dobrobyt materialny tych polskich kolonij, przy wyczerpanej pracy kolonistów, jest znośny, ale pierwsze 3, 4 lata okropne.

Kolonja Abramhes, której kapłanem obecnie jest ks. Dziadkowiec, składa się przeważnie z wielkopolan (między tymi 30 rodzin niemieckich), którzy tu przybyli przed 20 laty, z górnoszlazaków osiadłych tu przed 14 laty i z 23 rodzin z pod Gorlic i Grybowa. Plebanja piękna, murowana, otoczona rozkosznym ogrodem; kościółek nędzny; po Bożem Narodzeniu rozpocznie się budowa nowego wielkiego kościoła; parafianie zwieźli już kamień i dostarczą wapna, które sami wypalają. Dochody kapłana około 3,000 milreisów rocznie, ale walory brazylijskie spadły do połowy; za 1 milreis płaciło się dawniej 2 marki niem., dziś dają tylko 1 markę. Wskutek tego liczne po miastach bankructwa kupców i bankierów, a d. 2 listopada b. r., kwestja finansowa wywołała w Rio de Janeiro, stolicy kraju, straszną rewolucję. W Paranie dotąd cicho.

Polacy z Królestwa polskiego raz wraz przybywają całymi masami. Odwożą ich do Curitiba, gdzie pobudowano dla nich baraki. W ciągu trzech miesięcy mego pobytu w Abramhes było w tych barakach około 6,000 polskich emigrantów. Obecnie wywieziono ich w większej części na kolonie; około 2,000 wymarło na choroby epidemiczne; były dni, że (jako najbliższy ksiądz polski) po 20 osób zaopatrywałem w szpitalu emigracyjnym.

KRONIKA LITERACKA I NAUKOWA.

Numizmatyka w Wilnie. Donoszą nam z tego miasta: «Dr. T. Rewoliński pracuje obecnie nad katalogiem monet i medali z prywatnego zbioru hr. Adama Platera. Katalog zbiorów numizmatycznych hr. E. Czapskiego ze Stankowa jest już prawie na ukończeniu; w roku 1891 wyszedł tom III tego katalogu. Oprócz zbiorów osób wymienionych, Wilno cieszy się kilkoma muiejazami kolekcjami, a mianowicie: p. Luc. Moraczewskiego, Syrvida, Zasztowta etc.». L—w.

Dzieło Antoniego Rubinssteina «Ueber die Music und ihre Meister» wyzło w Lipsku u wydawcy Bartholda Sefpa. Świat artystyczny niemiecki, jak donoszą «Nowosti», bardzo jest z treści tej książki niezadowolony, znajduje w niej bowiem bardzo wiele paradoksów.

ECHA ZACHODNIE.

Wrocław, 26 grudnia.

[Wybory. Petycja do ks. biskupa wrocławskiego w sprawie nauki języka polskiego].

△ Dwie sprawy zajmują nas tu obecnie; wybory deputowanego z okręgu pszczyńskorybnickiego do parlamentu w Berlinie i sprawa petycji do ks. biskupa o naukę języka polskiego ze wszystkich parafij szlązkich z polską ludnością.

Dotychczasowym posłem z powiatów pszczyńskiego i rybnickiego był ks. Müller z Berlina. Należy on do posłów, którzy w r. 1871 wybrani zostali głównie za poparciem Karola Miarki, redaktora «Katolika». Do tego czasu (do r. 1871), wybierał Szlązak samych liberałów-protestantów. Ks. Müller lat 20 piastował godność poselską, a piastował ją, jak tego po tak gorliwym kapłanie oczekiwać należało — godnie. Przed kilku miesiącami rozeszła się wieść, iż mandat złożyć zamierza. Na mocy tej pogłoski zamieściły gazety górnośląskie prawie równobrzmiące artykuły, w których wypowiedziały zasady, jakimi się stronnictwo centrum, względem ludu polskiego na Szlązku, kierować powinno. Zażądały przede wszystkim, aby kandydat na posła był katolikiem i umiał tak dobrze po polsku, iżby się z wyborcami porozumiewać mógł bez trudności.

Ks. Müller niebawem istotnie mandat złożył, a gdy urzędowa wiadomość o tem nadeszła, «Katolik», «Nowiny Raciborskie» i «Gazeta Opolska» zamieściły znowu artykuły i powtórzyły w nich stawione dawniej żądania ludu polskiego.

Co centrum dalej robi, nie wiadomo; kandydata dotąd nie ogłoszono. Obiegają wieści, że nosi się ono podobno z zamiarem postawienia kandydatury pewnego magnata szląckiego, nie umiającego po polsku. Nie przypuszczam podobnego afrontu... W okręgu pszczyńsko-rybnickim jest 90% polaków. Wybierali oni, co prawda w ciągu lat 20, katolika, nie umiającego po polsku, lecz trzeba zwazyć, że w ciągu tego okresu samowiedza odrębności narodowej w ludzie naszym wzrosła; wie on już doskonale, że jest nie tylko katolikiem, ale i polskim, i że poseł pod jednym i drugim względem powinien być odpowiednim.

Drugą sprawą, obchodzącą całą społeczność polską na Szlązku, jest sprawa nauki języka polskiego w szkołach, oraz przy przygotowywaniu dzieci do spowiedzi i komunji św.

Kancelerz Caprivi powiedział był niegdyś w sejmie do poznańskich posłów: «Gdy zobaczymy, że polacy są lojalnymi poddanymi, to będziemy z nimi postępować inaczej...» Owóż, my tu na Szlązku jesteśmy lojalnymi po same uszy od niepamiętnych czasów—byliśmy nimi zawsze, a pomimo to po dziesięć jakos nie czujemy, ażeby «kurs» rządu zmienił się względem nas choć o włos na lepsze. Dla tego też, i aby nie mówiono, żeśmy kontenci z położenia, skoro nic nie mówimy, zaproponowały gazety polskie petycję do ks. biskupa wrocławskiego o naukę języka polskiego w szkołach i przy nauce religji. Petycja ma pójść na ręce biskupa z tego powodu, że minister oświaty, wydając znane rozporządzenie względem prywatnej nauki polskiej w Poznańskim, wyraźnie zaznaczył, iż rząd ustępstwo to robi

dla księży, którzy się uskarżali, że dzieci polskie z racji nauczania w obcym języku, dzieczej. Nam tu zresztą drogę do pośrednictwa biskupa wskazał wie. katolicki powszechny, (to jest złożony z katolików polskich i niemieckich), jaki się tego lata w Raciborzu odbył i uchwałę stosowną powziął.

Wypada zauważyć, że petycja domaga się nauki obowiązkowej polskiego języka w szkołach ludowych. Nauczanie prywatne tegoż języka nie było u nas nigdy zakazanem, ale wejść w życie na żaden sposób u nas nie mogło i nie może, bośmy za biedni, by osobno płacić za naukę prywatną. Przytem, brak u nas ludzi, którzyby sprawą tą na szerszą skalę zająć się potrafili. Nadto, w ludzie naszym istnieją silnie rozwinięte poczucie tej prawdy, że jeżeli podatki na szkoły płacone są regularnie, to już tego dosyć, nowych ofiar na prywatną naukę nie trzeba — i ponosić ich nie chce, nie może.

Jakkolwiek petycja nasza stoi na gruncie uchwał ogólnego katolickiego wieca w Raciborzu i przez to samo niktby jej poczytywać nie powinien za rzecz niebezpieczną, to jednak znalazł się już jeden proboszcz, który petycji od parafjan przyjąć nie chciał, z obawy (jak mówił), «ażeby rząd jeszcze więcej na polaków się nie pogniewał». Donoszą o tym dziwolągu «Nowiny Raciborskie» z W. Naczelawic pod Głogówkiem.

Górnoślązak.

Kraków, 26 grudnia.

[Posucha na tematy. Wieści z kom. pomn. Mickiewicza. Numery noworoczne pism. Nowe dzieło hist. Z wystawy].

△ Na temat do korespondencji wciąż u nas wyjątkowa posucha. Koledzy moi, piszący do innych pism zamiejscowych, ratują się szczegółowymi sprawozdaniami z całorocznej działalności «Lutni», Towarzystwa muzycznego i t. d. Może się mylę, ale zdaje mi się, że te cyfry i spisy nazwisk, wyciągnięte z broszur drukowanych, są bardzo nudne już na miejscu, a cóż dopiero dla publiczności zamiejscowej.

Gdybym pisał o parę dni później, może miałbym cośkolwiek do zanotowania z powodu, że w dniu jutrzejszym zbiera się, po raz pierwszy, komitet, założonego już dawno, związku narodowego, po którym to posiedzeniu zwołane zostanie w dni kilka ogólne zgromadzenie członków tego stowarzyszenia. Czego ono chce i jakie ma zadanie pisałem już dawno, mając przed sobą projekt statutu, zanim tenże został zatwierdzony. O ile mi wiadomo, komitet uchwali uprosić nowo zawiązane we Lwowie obywatelskie Towarzystwo handlowe o otwarcie filji w naszym mieście. Prócz tego mają być debaty nad regulacją waluty.

Z komitetu pomnika Mickiewicza dochodzą mnie wieści, iż otwarcie pomnika prawdopodobnie nastąpi w końcu września roku 1892. W komitecie zaszyły różnice zapatrywań: kto ma odsłonięcia dokonać: czy komitet obecny, czy też wydział krajowy, uproszony do tego przez komitet. Po dwóch posiedzeniach, zeszyłych na dyskusji w tym przedmiocie, uchwalono naręcznie nie odnosić się do wydziału krajowego, a to z tej przyczyny, iż instytucja ta, z natury rzeczy, mogłaby być krepowana przy ułożeniu programu, coby na świetność obchodu ujemnie wpłynęło. Prócz tego zwrócono uwagę, iż pomnik powstaje z ofiar, składanych przez rozmaite dzielnice, wówczas gdy wydział krajowy może być reprezentantem jedynie Galicji. Inna rzecz była ze sprowadzeniem zwłok Adama, którego dokonano kosztem wydziału krajowego. Komitet jednakowoż, bardzo słusznie, powziął w zasadzie drugą uchwałę, aby do objęcia nadzoru nad uroczystością zawiązać, pod własnem przewodnictwem, osobny większy komitet, składający się z najwybitniejszych przedstawicieli wszelkich sfer, zawodów i stron kraju.

Ktoby sądził o dziennikarstwie naszym z kilku ostatnich numerów, miałby fałszywe wyobrażenie o jego rozmiarach i bogactwie treści. Czas noworoczny, będący najlepszą chwilą dla starania się o zwolenników zasad, płacących pienuneratę gotówką, wywołał w tym roku nieznaną dotychczas wysiłą. Wszystkie pisma powydawały numera okazowe, sprawiając

tem radość, przede wszystkim właścicielom officyn drukarskich. W Krakowie pierwszy popleszył się «Kurjer Polski», dając fototypijne kopje «Kurjerów» Polskich z r. 1754 i 1831. Za «Kurjerem» podążyła «Reforma» z dwuaruszowym numerem. «Czas» bez zapowiedzi wystąpił z trzyaruszowym numerem w dzień wigilji Bożego Narodzenia. Ciekawa rzecz czy to komu co pomoże, boć nowych prenumeratorów w Galicji znaleźć trudno, a dotychczasowi zwykli składać hold tylko jednemu wybranemu bożkowi dziennikarskiemu. Profesor, Kazimierz Morawski, wydał cenne dzieło o «Patriotycznym Nideckim». Na tle życiorysu tego znakomitego męża, rozwinął autor piękny obraz wieku XVI w Polsce. Towarzystwo lekarskie krakowskie odbędzie swoje uroczyste posiedzenie na pamiątkę 25-letniej rocznicy swego istnienia. Na wystawie sztuk pięknych zwraca uwagę wielkich rozmiarów krajobraz młodego Rapackiego, syna artysty dramatycznego. Pełno w nim powietrza, poczucia natury i efektu, ale za dużo farbki.

Srednik.

Ziemie słowiańskie.

Czechy.

∞ Do nowego wystąpienia przeciwko polakom dała sposobność młodocześnie «Narodnim Listom» broszura p. Józefa Chociszewskiego pod napisem: «Podręcznik geografji o czystości», a zwłaszcza te ustępy «Podręcznika», w których mowa jest o czechach i rusinach. Między innymi piszą «Narodni Listy» co następuje: «Pisarzowi, który tak dokładnie wie, że czesi tęsknią do tego, ażeby się połączyć z polakami, nie można przeczyć. Możeby wszelako było lepiej kwestję tę odłożyć aż do czasu, kiedy liczba piśmiennych polaków będzie się przynajmniej równała liczbie piśmiennych czechów. Dopóki na 100 polaków mamy 74 niepiśmiennych — nie będzie można o takim połączeniu myśleć. Dopóki czesi oświatą przewyższają polaków — byłoby rzeczą daleko naturalniejszą, gdyby się polacy połączyli z czechami. My, czesi, nie możemy ze stanowiska idei słowiańskiej mieć nic przeciw temu, ażeby się szczepy słowiańskie łączyły. A jednak mylili by się wszyscy polacy wraz z p. Chociszewskim, sądząc, iż zdolaliby nas z sobą połączyć za pomocą stosunku do Rosji». Kierunek «Nar. Listów» zbyt jest znany, ażeby słowa powyższe kogokolwiek zadziwić mogły, ale swoją drogą broszura p. Chociszewskiego nie musiała się również odznaczać taktem politycznym, skoro nawet ostrożny «Dz. Pozn.» uznał za konieczne takie zrobić zastrzeżenie: «Czy dodanie do podręcznika wiadomości, zwłaszcza o czechach, było myślą fortunną, nie myślimy rozstrzygać».

Bułgaria, w grudniu

∞ Odroczone przed kilku dniami zgromadzenie narodowe uchwaliło szereg ustaw ważniejszego znaczenia. Do takich należy wprowadzenie języka bułgarskiego do szkół rumelijskich zamiast greckiego. Oburzyło to wielce ludność grecką miejską, i fanarjoci konstantynopolitańscy udali się z podaniem do rządu ateńskiego, by w drodze dyplomatycznej zażądał od Bułgarji wyjaśnienia i zmiany ustawy. Rokowania, prowadzone z początku nader energicznie, przybrały w końcu formę bardzo łagodną, przeważnie na skutek oświadczeń Stambolowa, że dzieci poddanych greckich, jak również dzieci greckie wogóle nie będą doznawały żadnych przeszkód w uczeniu się języka ojczystego, językiem wszakże wykładowym w szkołach rządowych zostanie język bułgarski.

Sprawa wydalonego z księstwa korespondenta «Agencji Havas», p. Chadourne'a, przeszła w fazę spokojniejszą. Rząd francuski udał się do pośrednictwa Turcji, jako państwa zwierzchniego, obowiązane na całym obszarze, a zatem i w Bułgarji strzedz prawa, t. z. kapitulacyj, na mocy których żaden cudzoziemiec-europejczyk nie może być sądzonym, aresztowanym lub wydalonym bez współdziałania swego konsula. Na żądanie wyjaśnienia od rządu bułgarskiego, oświadczył Saidowi-Paszy agent Wulkowicz, że wprowadzić konsul francuski, Lanet, nie był powiadomionym pisemnie o zamiarze wydalenia Chadourne'a, że wszakże minister Greków parokrotnie powiadomił go o tem ustnie, wobec kilku agentów dyplomatycznych. P. Stambolow, w rozmowie z korespondentem «Egyertertesa», oświadczył, że Bułgaria była w swem prawie, tak samo, jak w roku 1883, kiedy wydalono korespondenta «Temps», Bagnickiego, i że nawet w razie zupełnego zerwania stosunków z Francją, rozpaczac nie będzie. Według pogłosek, obiegających prasę, wypadek z Chadournem skończył się na w ten sposób, że rozkas

wydalenia zostanie cofniętym, pod warunkiem, iż Chadourne do Bułgarii nie wróci, konsul zaś, Lanel, zostanie zastąpiony przez inną, odpowiedniejszą osobistość.

Pani Karawelowa, która przesłała znany memoriał kobiet bułgarskich do konsułów w sprawie długiego więzienia i barbarzyńskiego obchodzenia się z osobami, pociągniętymi do odpowiedzialności za udział w morderstwie Bełczewa, została aresztowana pod zarzutem sfałszowania podpisów na memoriale. Zeznania pań, które memoriał podpisały, stwierdzają ten zarzut w oświadczeniach, iż nie dawały nikomu pełnomocnictwa do podpisywania swych nazwisk, same zaś tych nazwisk nie podpisywały. Wezwana przez sędziego śledczego pani Karawelowa odmówiła wszelkich wyjaśnień, oświadczając, iż słoży je publicznie sądownie.

## LISTY Z PROWINCJI.

Mińska gub., 18 grudnia.

[Fabryka sukna p. Skirmunta].

□ Gdy małomiasteczkowe interesa handlowe są bardzo niewesołe, to cóż mówić o ciężkich warunkach dla przemysłu poważnego. Głównym jego przedstawicielem w naszej guberni jest p. Aleksander Skirmunt, posiadający wyborną fabrykę sukna w Porieczu pod Pińskiem. Sytuacja fatalna nie mogła się nie odbić i na tej załuzonej firmie, przeto przed kilku laty musiała ona zredukować nieco wytwór, co dało powód lekkomyślnym lub zawistnym do roztrąbienia po pismach fałszywej wieści, jakoby fabryka zlikwidowała interes i ustala. Wiedząc dokładnie, jak rzeczy stoja, i że szanowny nasz przedsiębiorca traci wiele z powodu tych plotek niewczesnych, telegrafowałem do «Kraju», odwołując je stanowczo; obecnie zaś wyjaśniam szczegółowiej, że fabryka porzecka pomimo zastój w handlu, nie zmniejszyła od lat kilku produkcji i dziś jeszcze zatrudnia do 300 robotników, przy normalnej liczbie (12) godzin pracy; może przeto śmiało współzawodniczyć z najlepszymi wyrobami fabryk krajowych, zwłaszcza, że p. S. sam osobiście pilnuje fabryki, a to stanowi rękojmię bez zarzutu. Zamiast tedy rozlewania wieści nieprawdopodobnych i szkodliwych dla interesu, lepiejby zrobili pisma, zachęcając współkrajowców, aby podtrzymali solidarnie fabrykę rodaka, kupując z niej wyroby, z czystej wełny, bez domieszki bawełny lub szarpaniny ze starych szmatów noszonego odzienia, dodawanego dziś niesumienne nawet przez renomowane firmy, a kryjącej w sobie *sarazki* i niemoc materiału...

Al. Jelski.

Wilno, 15 grudnia.

[Koncerty dobroczynne].

□ Przed kilku dniami, staraniem baronowej Osten-Saken urządzony został koncert na rzecz «głodnych», który przyniósł czystego dochodu 382 rub. z koplejkami. W dniu 17 b. m. odbędzie się znowu koncert dobroczynny na korzyść nędzy wyjątkowej miasta. Zapelnia go siły amatorskie pań z naszego towarzystwa, a okrasą i *great attraction* wieczoru będzie gra skrzypka Mlynarskiego, który umyślnie na ten cel zjechał z Petersburga. Z koncertu spodziewanym jest dobry rezultat materialny, gdyż wszystkie bilety już rozsprzedane, a gdy do tego dodamy jeszcze naddatki za programy, sprzedawane przez panie z towarzystwa przy wejściu do sali, zbierze się suma niemała.

Wajtys.

Z Wilna.

— Piszą do «Słowa»: «Wczoraj, dnia 22 grudnia, odbyło się tu pod prezydencją marszałka gubernialnego, hr. Adama Platara, zebranie marszałków powiatowych i deputatów szlachty gub. wileńskiej, na którym uchwalona została składka na głodnych (w gub. wschodnich) nie niżej jak po 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> kop. z opodatkowanej dziesięciny ziemi szlacheckiej w gub. wileńskiej; opodatkowanych dziesięcin w gub. wileńskiej szlachta posiada 1,397,963.

Bobrujak, 12 grudnia.

[Wybory].

□ Obecnie panuje w mieście śród bogatych kupców i właścicieli domów szczególniejsze

ożywienie z racji nadchodzącego terminu wyborów do rady miasta i zarządu. Dotychczasowy burmistrz, p. K., zawieszony w pełnieniu swego urzędu z woli władz wyższych, nie może prawdopodobnie wystawić swej kandydatury. Pełniący zaś obowiązki burmistrza p. O., ma wielu stronników. Wreszcie w ostatniej chwili, zapewne, zjawi się kilku pretendentów do łaski burmistrzowskiej. Nie będę się rozwodził nad krytyką rządów miejskich, zanotuję tylko, że nasze latarnie uliczne «księżyc oświeca», na trotuarach można nieraz nogi połać, a zaległości podatkowe (ziemia w Bobrujaku stanowi własność miasta), tak są wielkie, iż członkowie zarządu służą bez pensji, chyba dla honoru; pensję zaś władze wyższe zaarrestowały na czas nieokreślony.

Osa.

Kijów, 18 grudnia.

[Przyjazd nowego metropolity. O kulturę zarazka rakowego. «Brazylijczycy». Ślizgawka. Ze «świata tonów»].

□ Nowy metropolita kijowski przybył już do swej stolicy i zamieszkał w lokalu metropolitalnym, w obrębie kijowsko-peczerskiej lawry. Powitany uroczysto na dworcu kolejowym, a później w sołżskim soborze, na przemówienie przełożonego soboru, iż oczekują go tu walki z odstępcami wiary prawosławnej, odpowiedział, iż przybył tu nie walczyć i zwyciężać, lecz tylko miłować wszystkich zarówno. Od tej znaczącej enuncjacji rozpoczną się tedy nowe rządy metropolitalne.

W sferach uczonych medyków miejscowych powstały spory i waśnie o zaszczyt odkrycia i prawa dalszej kultury zarazka rakowego. Dwóch profesorów miejscowego uniwersytetu, panowie Sudakiewicz i Podwysockij, w sprawie tej skruszyli kopje na jednym z niedawnych posiedzeń Towarzystwa lekarskiego, obaj aspirując do tytułu pierwszego wynalazcy, rzetelnym wynalazcą jednak okazał się skromny student medycyny, niejaki Zajczkowski, który pracując z mikroskopem w klinikach uniwersyteckich, dopatrywał owego «baccillusa», co się stał jabłkiem niezgody pomiędzy profesorami.

Od tygodni w więzieniu kijowskim pozostaje, składająca się z 8 rodzin, grupa wychodźców Królestwa polskiego do Brazylii, powracających obecnie do miejsc rodzinnych. Klimat i choroby zmusiły naszych emigrantów zateknić za szarem niebem nadwiślańskich okolic, o własnym koszcie jednak zdołali się dobić za ledwie do Marsylji, zkad przez konsulats rosyjski zostali statkiem wyprawieni do Odessy. Opatrzeni na podróż dalszą przez Odeskę rzymsko-katolickie Towarzystwo dobroczynności, «brazylijczycy» etapem są prowadzeni do Warszawy, że zaś etap z Odessy do Warszawy prowadzi na Kijów, w więzieniu więc tutaj przebywają od 13 b. u., aż do czasu, mającego odejść etapu do Warszawy, co ma nastąpić dopiero 23 b. m. wieczorem. Zawiadomiony o tem nasz czcigodny filantrop, p. Leonard Jankowski, odwiedził tych «synów marnotrawnych» w więzieniu, zawiązałszy im opiatek ze względu na przypadające obecnie święta Bożego Narodzenia, podług nowego stylu, i hojnym pieniężnym opatrzył datkiem. «Brazylijczycy» okazali się wszyscy rzemieślnikami (kowale, stelmachy), rozpowiadają, iż gdyby nie upały i choroby, dobrzeby się im tam działo, zarabiali bowiem po dwa ruble dziennie.

Czas adwentowy przerwał ohocho zabawy taneczne, które tak ożywiały miniony sezon jesienny, młodzież towarzyska stara się to sobie wynagrodzić, zbierając się licznie na ślizgawkę w ogrodzie Meryng'a, wesoly ten i higieniczny rodzaj sportu coraz większej nabywa popularności w miejscowych sferach towarzyskich i ślizgawka u Meryng'a, stała się ulubionym *rendes-vous du monde où l'on s'amuse*. Spotkać tam można, prócz młodego grona panienek i studentów, także lyżujących poważnych kijowskich mecenasów adwokatury, jak również i jeszcze poważniejszych doktorów medycyny, a i przedstawiciele światła finansowego.

Przyjazd do Kijowa znanego artysty-kompozytora Czajkowskiego, ożywił bardzo tutejszy świat muzyczny, zapowiedziany jest cały

szereg przedstawień operowych z dzieł tego autora, jak również koncertów, z jego kierowniczym udziałem. Rada miejska w tych dniach przyjęła decyzję wydzierżawienia teatru miejskiego, po zakończeniu bieżącego sezonu, z którym ekspiruje umowa, zawarta z obecnym entrepreneurem, p. Prjanisznikowem, dawniejszemu długoletniemu entrepreneurowi kijowskiego teatru miejskiego, p. Sethoferowi (Sietow). Powrót do Kijowa pana S., miejscowa publiczność przyjmuje z wielkim zadowoleniem, czas bowiem jego byłego kierownictwa sprawami teatralnymi, związany jest z najświetniejszymi wspomnieniami złotych czasów kijowskiego teatru. P. S. należy do tego rodzaju wyjątkowych przedsiębiorców teatralnych w Rosji, którzy artystom zawsze wypłacają umówione honoraria, przytem S. sam niegdyś znany artysta-tenor, zawsze umiał dobrać zajmujący personel operowy.

Mik. Trzaska.

Homel, 6 grudnia.

[Obchód śmierci Mozarta. Zbiorowa książka dla «głodnych»].

□ W d. 4 grudnia, to jest w przeddzień setnej rocznicy śmierci Mozarta, odbył się u nas, w salach resursy miejskiej, muzykalnowokalny wieczór, poświęcony pamięci wielkiego tego mistrza. Wam, mieszkańcom wielkiego — a w każdym razie większego od homelskiego świata, dziwnem się zapewne wyda, że na naszym partykularzu, w głuchym zakątku białoruskim, ludzie mogą i umieją jeszcze przypominać daty urodzin lub zgonu wielkich ludzi... No, ale tak jest. Często niema chleba — ale za to dobre uczucie i trochę wykształcenia zawsze się znajdzie. Przy tak dobrej sposobności pozwólcie też podzielić się wiadomością, że wśród inteligencji homelskiej kielkuje zamiar wydania na rzecz dotkniętych kleską głodu, książki zbiorowej, sporządzonej miejscowymi siłami literackimi.

Korczak.

Z Białej Rusi.

[Jeszcze o stosunkach z ludem].

□ W 49 numerze «Kraju», obok mojej korespondencji z Białej Rusi, umieszczona była korespondencja z guberni mohylowskiej, w której opisano dobre stosunki właścicieli z włościanami. Jakież są tych stosunków dowody. U państwa W. w pow. bychowskiem, włościanie za niesioną bezinteresowną pomoc lekarską, dali dowód wdzięczności, udzielając pomocy w robotniku i w podwodach na odbudowanie, podpalonej zbrodniczą ręką obory. Któż jednak był ten zbrodniarz, może jeden z tych wdzięcznych włościan, którzy się stawili na odbudowanie budynku? Ale mniejsza o to, niewiem, więc nie posadzam, chcę tylko fakt we właściwym przedstawić światło. Pan korespondent chyba nie wie, że u nas na Białej Rusi wiele robót w majątkach uskutecznia się t. z. «tłokami» za wódkę, najczęściej za pieniądze nie znajdziemy robotnika ani podwoły, za wódkę zaś wiele chcąc. Ciekawy więc jestem, wiele państwa W. wyszło wiader wódki, i wiele ta robota «przez wdzięczność» mogła kosztować?

Co się tyczy pogrzebu ś. p. Seweryna Chmyrowskiego, wierzę temu że okoliczni mieszkańcy wszelkiego stanu i wyznania, starali się oddać posługę zwłokom zacnego człowieka, nie w tem dziwnego niema. Zacność, uczciwość zawsze jest uznana nawet przez największych naszych nieprzyjaciół. Jestto tylko dowodem, jaki to musiał być człowiek, ś. p. Seweryn Chmyrowski. Chciałbym jednak wiedzieć wiele na stypie po pogrzebie było rozdano wódki włościanom, czy wielu pomiędzy nimi było trzeźwych, oplakując zgon zacnego człowieka. Otóż to jest całe nasze nieszczęście, piszemy poetyzując, nie wglądając w miejscowe zwyczaje i stosunki. Nie mówię, — mogą być wyjątki, jak oazy na pustyni, bardzo jednak niestety, rzadkie. Mając na względzie, ową manję «poetyzowania», ośmieliłem się napisać korespondencję o Białej Rusi gorzką, ale prawdziwą. Jeżeli nie napisałem prawdy, to niechże mi, ktokolwiek zaprzeczy i dowiedzie niesłuszności, radbym się mylić.

Białorusin z parafji Babinowickiej.

## Finlandja.

«Mosk. Wied.», od dość dawnego czasu pilnie interesujące się wszystkiemi, co się dzieje w Finlandji, swrócili uwagę na artykuł pod tytuł: «Jak łączą Estlandję z całym państwem», który zjawił się w kilku gazetach fińskich. W Estlandji — pisze autor rzeczownego artykułu — wśród naszych współplemieńców, estończyków, ruszczenie wszelkimi środkami prowadzi się już od lat 50, a skutki jego są widoczne. Widać je w administracji, w kościele, w szkole, w życiu społecznem, a nawet i w rodzinem. W dalszym ciągu, referują «Mosk. Wiedomost», artykuł podaje fałszywe fakty. Do tego rodzaju przedewszystkiem zaliczyć należy wiadomości o rozpowszechnieniu prawosławia. Artykuł podaje, że w Rydze utworzono katedrę biskupią prawosławną i przechrzczono na prawosławie około 100,000 ewangelików. Wielką okazją za pomocą obietnic nagród materialnych, jak naprzykład, nadanie ziemi w Rosji południowej. Ale gdy odszczepieńcom nie dotrzymano obietnicy, powoli zaczęli znów powracać do poprzednio wyznawanej religji. Tylko surowe prawo stanęło tu na przeszkodzie. Artykuł ten kończy się oświadczeniem, że estończycy nie mają przyszłości, gdyż «dobrowolnie stali się sługami rusyfikacji». «Mosk. Wied.» wyrażają zdziwienie, że tego rodzaju tendencyjne i fałszywe artykuły mogą się pojawiać w prasie fińskiej.

## Z POLITYCZNEGO ŚWIATA.

Przyjęcia noworoczne, Interpelacja w izbie francuskiej w sprawie Chadourne'a. Czwarty (?) minister bez teki w gabinecie hr. Taaffe'go].

Urodziny 1892 r. powitano na Zachodzie najwykleszemi życzeniami i przepowiedniami. Wiązkę noworocznych swych telegramów «Ag. Północna» rozpoczęła od audjencji p. Izwołskiego u papieża w dniu 31 grudnia, na której pełnomocnik ruski, po złożeniu życzeń Leonowi XIII, «prowadził z nim bardzo serdeczną rozmowę». Nazajutrz odbyło się w Kwirynale przyjęcie senatorów i deputowanych. Król Humbert, po krótkich komplementach dla narodu i parlamentu, wyraził «całkowitą pewność, że traktaty handlowe zapewnią Włochom pożądane korzyści i że obecne położenie polityczne, rokuje niezmacone urzeczywistnienie pokojowej działalności kraju». W Paryżu, «Ag. Havasa» dopiero wieczorem 1 stycznia rozesała zawiadomienie, że prezydent Rzeczypospolitej, przyjmując ciało dyplomatyczne, temi słowy odpowiedział na przemówienie nuncjusza: «Rok 1892 będzie — jak wszyscy my pragniemy i spodziewamy się — owocnym i pokojowym rokiem... Rzeczpospolita, przejęta poczuciem praw i tradycyji Francji, jest obok tego szczerze przywiązana do polityki pokoju i zgody międzynarodowej». W Berlinie, z powodu nowego roku, odbyło się w kaplicy zamku królewskiego nabożeństwo, po którym cesarz, w sali białej, przyjmował ambasadorów i posłów zagranicznych; ambasadorowie ruski i włoski obecnymi na przyjęciu nie byli, «Ag. Wolffa» nadmieniał przytem, że o jakichkolwiek mowach Wilhelma II, przy audjencjach pojedynczych, nic niewiadomo... Niewiadomo również jak się uroczystość noworoczna odbyła w Wiedniu. W zastępstwie dwóch cesarzy środkowo-europejskich, niemieckiego i austro-węgierskiego, przemówiły dzienniki: «Fremdenblatt» i «Vossische Ztg». Organ wiedeński niezłomną swą wiarę w przyszłość oparł tym razem na «niewątpliwie pokojowem usposobieniu Najjaśniejszego Cesarza Wszechrosji»; organ berliński także intencje przypisał monarsze niemieckiemu, skonstatowawszy zarazem, że szowinistyczne napastnicze wywody eks-jenerała Leszczyńskiego nie mają w sobie nic urzędowego i nie mogą być kładzione na karb polityki hr. Capriw'ego.

Stosownie do zapowiedzi w izbie francuskiej, odbyła się w d. 28 grudnia interpelacja deputowanego Millevoye, w sprawie wydalenia z terytorjum bułgarskiego p. Chadourne'a. Interpelujący wygłosił długą mowę, dowodząc mającą pogwałcenia w danym razie «kapitulacyji», obowiązujących Bułgarję jako lennika Porty; pochwalili jednocześnie rząd francuski za energję, a Rosję za to, że usamowolniła chrześcijan podbalkkańskich. Stambolowa i jego kolegów mówca potraktował tak nieparlamentarnie, że deputowany Douville-Maillefeu uważał za potrzebne go spytać: «czy nie chory pan jesteś?... Wywiązała się ztąd wymiana słów gorzkich, a następnie i kartek wizytowych. Sekundanci jednak, po dłuższej naradzie oznajmili, że pojedynkować się niema o co. Minister spraw zagranicznych, Ribot, w odpowiedzi swej p. Milleroye, rozszerzył się nad tem głównie, dlaczego Francja szukać musiała tym razem zadośćuczynienia w Konstantynopolu, nie zaś w Sofji. Bułgarja nie jest państwem samoistnem, lecz podlega zwierzchniczej władzy sułtana. Jakikolwiek obrót wezmą rzeczy nad Bosforem, Francja otrzymać musi satysfakcję, a minister zrobi co należy, bez zbytecznego pośpiechu, ale też i bez słabości.

O samym stanie kwestji przed trybunałem, padyszacha, po dziennikach krążą wieści nader niepewne i mętne. Wiedeńska «Polit. Corresp.» utrzymuje, na podstawie wiadomości telegraficznych ze Stambułu, że odpowiedź Porty na notę ambasadora francuskiego Cambona, jest już przygotowaną w zasadzie: przyznaje ona Bułgarji prawo postępowania z cudzoziemcami według własnego rozumienia potrzeb i konieczności porządku publicznego. Inne źródła mówią dopiero tylko jeszcze o wyjaśnieniach, jakie dyplomatyczny agent bułgarski w Konstantynopolu złożył miar Porcie w d. 31 grudnia n. st. Ambasador ruski, Nelidow, który w ciągu dwóch dni bawił w Wiedniu, opuścił to miasto dopiero 29 grudnia, ażeby stanąć w Konstantynopolu na sam czas owych wyjaśnień. Z Sofji nadchodzą także jakieś bardzo niewyraźne wskazówki. Depesza «Ag. Havasa» z d. 1 stycznia 1892, głosi np.: «Ze źródeł prywatnych dowiadujemy się, że rządca bułgarscy gotowi są odwołać swe rozporządzenie o wydaleniu Chadourne'a, pod warunkiem jednak, że Chadourne do Bułgarji nie wróci, a cały personel konsulatu francuskiego w Sofji ulegnie odnowieniu... Wyznajemy szczerze, że nie pojmujemy wcale, coby to był za gatunek odwołania, zabraniający Chadourne'owi pobytu w Bułgarji.

Specjalne informacje «Now. Wrem.» z Wiednia, z d. 31 grudnia, zaprzeczają pogłoskom o ustąpieniu Smolki i powołaniu Hohenwartha do izby panów. Klub tego ostatniego nie poniósł wcale porażki przez to, że jeden z członków lewicy niemieckiej wstąpił do gabinetu. Doniesienie dziennika p. Suworina głosi jednocześnie, że hr. Taaffe, ma zamiar powołać także na ministra bez teki jednego członka partji Hohenwartha, ażeby jądro większości rządowej złożyć się tym sposobem mogło z federalistów słowiańskich i z polaków.

J. T. H.

## Wiadomości polityczne.

Niemcy. Paryski dziennik «Eclair» otrzymał z Berlina zapewnienie, że stosunki między cesarzem Wilhelmem i księciem Bismarkiem zostały przywrócone i udział eks-kancelarza w rządach jest możliwym.

Francja. Minister wysłał z mniejszą pensją biskupa w Carcassonie, za udanie się jego do Rzymu bez upoważnienia rządu. W Tulonie, gdzie obecnie znajdują się jeden z wojennych ruskich okrętów, odbył się, na pancernikach «Marceau» i «Formidable», szereg uczt i uroczystości, w których sześciu admirałów francuskich i ruski kapitan Birulew wnosili toasty za pomyślność przymierza franko-ruskiego. Niemniej gościnnie podejmowano też w dniu nowego roku i oficerów fregaty «Dymitry Doński», stojącej w porcie Algieru.

Stany Zjednoczone. Ambasador Niemiec wystąpił w pośrednictwem swojego rządu w satargu Stanów z rządem chilijskim.

Persja. Według doniesienia «Ag. Reuters» z Teheranu, szach perski zniósł monopol tytoniu.

## WOJNA I POKÓJ.

×+ Korespondent do «Now. Wr.» donosi poniższe ciekawe zdanie Kossutha o przyszłej wojnie: «Mówiono mi, pisze wzmiankowany korespondent, że ostatni ze stronników Kossutha; którego ten przyjął, opowiadał mu, iż sędziwy agitator uważa wojnę za nieuniknioną i bardzo blizką. Losy Węgier niepokoją go bardzo. Kossuth twierdzi, że naturalny rozwój siły wojennej Rosji musi ją doprowadzić do napadu na Węgry. «Ależ i my przecie mamy wojsko» — zauważył gość. — «Zapominasz pan, odpowiedział Kossuth, że w chwili gdy rosjanie wyruszą na Węgry, przybiecą serbom pewną część naszych posiadłości, słowakom — północno-zachodnie Węgry, rusinom karpackim — północno-wschodnią część, a Transylwanję — rumunom. My zaś z tego co do nas należy nie nikomu obiecywać nie możemy. Jestem przekonany, że jak tylko wojna zostanie zdecydowana, zanim wojska nasze spotkają się z ruskimi wojskami, przeciwko nam w całych Węgrzech powstają nasi współobywatele!»

×+ Manewry wojsk austriackich w r. b., jak donoszą z Wiednia do «Now. Wr.», odbędą się na daleko większą skalę, aniżeli to miało miejsce w r. b. Jak donoszą gazety wiedeńskie, w manewrach przyjmą udział niektórzy podoficerowie, zaliczeni do landszturm. Oficerowie również zostaną zawezwani, do komenderowania oddziałami wojsk, tytułem próby.

×+ Rząd włoski obstał w fabryce broni w Sztener, w celach doświadczalnych, karabiny nowej konstrukcji. Karabiny te, jak donoszą z Wiednia do «Now. Wr.», są mniejszego kalibru, aniżeli nowe karabiny ruskie; ustrój ich jest wielce zbliżony do ustroju karabinów Mannlichera. Dla tych karabinów przygotowywać będą proch nowowynaleziony — «ballistit».

×+ W «Kölnische Volkszeitung» zamieszczony list z Indji podaje szczegóły uzbrojeń, jakie tam obecnie rozpoczęto, oraz wyraża przypuszczenie, że uzbrojenia te mają na celu wyprawę na Cabul. Nie ulega wątpliwości, w każdym razie, dodaje «Now. Wr.», że w ciągu zimy cały korpus armji będzie zmobilizowany, a w tym celu pod Peszewarem ma się zgromadzić około 40,000 ludzi. W okręgu Kwetskim nabywają wielbłądy, a we wszystkich pogranicznych miejscowościach śpiesznie powiększają zapasy amunicji.

## KRONIKA ZAGRANICZNA.

> W papierach, pozostałych po hr. Roonie, znanym ministrze wojennym Wilhelma I-go, które obecnie drukuje pismo «Deutsche Rundschau», znajdują się i listy Wilhelma I-go do Roona. W liście z dnia 18 sierpnia 1877 roku pisze: «Sądził pan zupełnie słusznie, jeśli przypuszczasz, że głęboko wzruszony porażką ruskiej armji i współczując w duszy cesarzowi! Ale działania ich, od czasu przejścia przez Dunaj, są dla mnie zagadką! O ile znakomicie było przygotowane i wykonane przejście przez Dunaj, o tyle nie da się pojąć, że zapomniano potem o głównym przepisie strategji: wszystkie siły skierować na główną armję nieprzyjaciela i rozbić go przed przedsięwzięciem jakichkolwiek nowych działań. Wbrew temu, rozbili swe siły i ukazali się wszędzie słabszemi od nieprzyjaciela! Epizod przejścia przez Bałkany zupełnie pojąć się nie da, a jego spełnienie zasługiwałoby na daleko rozumniejszy cell. Mam nadzieję, która i pan żywisz, że zwycięży armja ruska! Turcy wszakże chybaby dotknięci byli ślepotą, gdyby spokojnie się zachowali wobec przybywających ogromnych posiłków przeciwnika. Daj Boże, ażeby byli tak ślepi! Pod datą 12 marca 1878 r. cesarz Wilhelm pisał do Roona: «Kiedy pan do mnie pisał, wówczas tylko co była poddała się Plewna; rosjanie święcili jedno zwycięstwo po drugim; obecnie stoją przed bramami Konstantynopola i zawierają po-

kój, który im samym mało da za okropne ofiary w ludziach, krwi i wszelkiego rodzaju wydatkach, a kto wie ile odejmie jeszcze kongres w Armenii i na Dunaju. Że kongres ten musi odbywać się w Berlinie, ażeby mógł w nim przyjąć udział Bismarck, jest to bardzo zaszczytne dla Niemiec, a głównie dla Prus, ale mnie osobiście przygotowuje to nie jedną nieprzyjemną minutę, gdyż na mnie przypadnie rola sędziego polubownego, a taki sędzia nikogo nie może zadowolnić.

> Program uroczystego obchodu odkrycia Ameryki w Hiszpanji zawiera rozmaite kongresy, konkursy i wystawy naukowe. Obecnie do programu tego włączono i narodową uroczystość, która powinna mieć urok i dla cudzoziemców. Grenada uroczystość tę organizuje w Alhambrze, gdzie królowa-regentka będzie przyjmowała delegatów państw europejskich i amerykańskich.

> Adelina Patti udała się do New-Yorku. Znamienna śpiewaczka ma zamiar dać kilka koncertów, a następnie wraz z Reszkem wystąpi w operze.

## Z TYGODNIA.

Petersburg, 24 grudnia.

Traktaty handlowe, zawarte między mocarstwami Europy środkowej, wywołały we Francji dość przygnębiające wrażenie. Publicyści tej miary jak Julis Simon i Leroy-Beaulieu, przewidują odosobnienie Francji i w konsekwencji upadek i zacofanie przemysłu francuzkiego, albowiem rynek wewnętrzny jest zaciąsny i zaubogi, ażeby dawał dostateczne podstawy dla wszechstronnego rozwoju narodowej wytwórczości. Naród francuzki względnie nieliczny i bardzo powolnie wzrastający, nie może się odosobnić od ludów europejskich, nie może się w sobie zaklepać pod groźbę zwyrodnienia i upadku, to też względ na zasadnicze cywilizacyjne potrzeby, musi przeważać nad chwilowymi względami politycznymi. Gorące te odezwy wszakże pozostają głosem wołającym, wprawdzie nie na puszczy, ale na szpaltach dziennikarskich, (co nieraz zresztą na jedno wychodzi), a izby francuzkie nie okazują najmniejszej skłonności ku zmianie, świeżo zainaugurowanej polityki protekcyjizmu. W Rosji zaś nawet dziennikarstwo niezbyt skwapliwie przyjmuje propozycje p. Leroy-Beaulieu, zawarcia między Francją a Rosją traktatu handlowego, na gruncie wzajemnych ustępstw celnych i świeżo «Mosk. Wied.» wystąpiły z ostrzeżeniem, ażeby względów przemysłowych nie poświęcać kombinacjom politycznym, przytaczając przytem charakterystyczne, (bo na wskroś sprzeczne z francuzkimi) motywy, że Rosja, jako kraj niezmiernie zasobny w ludność i bogactwa przyrodzone, może się obchodzić bez wzajemności ekonomicznej państw innych. Być może, jest to słusznym, ale słusznymi są również biadania publicystów francuzkich nad odosobnieniem Francji, a ta zasadnicza sprzeczność położenia ekonomicznego, rzuca niejaki światło specjalne na ugrupowanie się polityczne mocarstw europejskich.

W układzie większości rządowej parlamentu wiedeńskiego, zapowiedziały się w tych dniach niejaki zmiany (zob. dzisiejszy «Przegl. polit.»), w których stanowisko Koła polskiego, mogłoby coś jeszcze zyskać na znaczeniu i powadze,

a wobec tej ewentualności, prasie galicyjskiej zawczasu należałoby zapewne pomyśleć o zwróceniu uwagi deputowanych polskich na los drugiego, wschodniego Szlązka. Mówimy o Bukowinie. W dobrym tym odłamie ziem «niegdyś naszych» jest polaków zaledwie 20,000, lecz przeważna większość mieszkańców składa się z rusinów, względem których t. zw. ugoda Romańczuka powinna obowiązywać. Niedawno «Ruska Rada» w Czerniowcach wystąpiła do władz wiedeńskich z petycją o utworzenie... już nie osobnego gimnazjum ruskiego, lecz tylko paralelek przy istniejącym gimnazjum niemieckim. Co się z tą petycją stało? Jest zaprawdę rzeczą nie do uwierzenia, że za zarządów tak «bezstronnego» ministra, jak hr. Taaffe, dzieją się w Przedlitawji nadużycia konstytucyjne tej miary, co bukowińskie. Rumunów jest w tym kraju znacznie mniej niż rusinów, a przecież własne paralelki posiadają oni oddawna. Ludowych szkółek ruskich Bukowina ma do stu, uczęszcza do nich około 7,000 dzieci, dla czegoż więc zakład średniowychowawczy w języku macierzystym miałby im być odmówiony? Uważanożby ustępstwo podobne na rzecz większości żywołów rusińskich za wielkie i za ubliżające dla uprzywilejowanej garstki Niemców, którzy tu obsiedli wszystkie stopnie administracji i zagarnęli w swe ręce całe szkolnictwo? A ten uniwersytet niemiecki w Czerniowcach, cóż to znowu za anachronizm i anomalje? W każdym razie, jeżeli rusini galicyjscy nie czują się dziś na siłach uderzyć na tę uczołą twierdzę cywilizatorskiego germanizmu, najdalej dziś na wschód wysuniętą, polacy szczerze i gorąco powinni im dopomóc do tego przynajmniej, aby działwę ich drobną ocalić od ulegalizowanej konieczności niemiezenia się w szkołach niższych, fachowych i w gimnazjum.

Podniesiony przez «Nowoje Wremia» projekt kolonizowania południowo-zachodnich prowincyj przez włościan wielkoruskich spotkał się z bardzo ostrą i zupełnie uzasadnioną krytyką ze strony «Kijewlanina». Organ prowincjonalny wykazuje całą niepraktyczność tej kopji «komisji kolonizacyjnej», nawet ze stanowiska politycznego, problematyczność korzyści ekonomicznych dla kraju z tego przesiedlania osadników, przyzwyczajonych do daleko niższego poziomu gospodarki rolnej i kończy bardzo słusznym twierdzeniem, że prowincje zachodnie potrzebują nie przesiedlenia, ale «rozsiedlenia» miejscowych włościan i uporządkowania stosunków agrarnych. Kwestja to tem bardziej ważna i na czasie, że, wedle informacji «Wilensk. Wiestnika», rada państwa wkrótce wypracuje nową ustawę o kolonizacji cudzoziemskiej, która to ustawa właściwie położy tamę wszelkiemu przyływowi kolonistów z zagranicy. Mianowicie odtąd cudzoziemcy będą pozbawieni prawa nietylko nabywania, ale nawet dzierżawienia nieruchomości wiejskich, a nadto prawo naturalizacji ma być niezmiernie obostrzone, ponie-

waż od petentów wymagana będzie dokładna znajomość języka i praw urzędowych i p. ministrowi spraw wewnętrznych przysługiwać ma dyskrecjonalne prawo odmowy. Przez usunięcie przyływu kolonizacji zachodniej, przez naturalną niemożność kolonizacji wschodniej, dalszy rozwój rolniczy i ekonomiczny, prowincyj północno- i południowo-zachodnich, musi się opierać wyłącznie tylko na siłach miejscowych. Niewątpliwie przy odpowiednim pokierowaniu, zasoby i siły rzeczonych prowincyj, są aż nadto dostateczne, ale należy usunąć zawady, tamujące ich swobodny rozwój. Więc przedewszystkiem uregulowanie serwitutów, usunięcie szachownic, zaprowadzenie meljoracyj i t. p., oto są kwestje, domagające się natychmiastowego rozwiązania.

«Na gwiazdkę!» — taki tytuł nosi jedna z poznańskich korespondencyj «N. Reformy», streszczająca bilans społecznego naszego żywota na kresach zachodnich. Nie jest to żaden obraz obecnego materialnego i moralnego położenia dzielnicy poznańskiej, lecz jakby jedno tylko ciemno-szare tło do niego, na którym, pod sam dopiero koniec błyszczy drobnutkie ździebełko lepszej nowiny: nominacja polska na arcybiskupstwo gnieźnieńsko-poznańskie. Co do tak zwanych ustępstw w sprawie prywatnego nauczania języka polskiego, autor korespondencji sprowadza rzekomą tę ulgę do zera, najpierw dlatego, że wymaga ona nowych ofiar pieniężnych, pod postacią dodatku podatkowego, powtóre zaś, że się nie stosuje ani do Prus Zachodnich, ani do Szlązka. W tym drugim punkcie korespondent w połowie tylko ma słusność, na Szlązku bowiem nigdy nie istniał zakaz prywatnego uczenia dzieci po polsku i jeśli dziś lud górnoszlązki podaje do rządu petycje o wprowadzenie języka polskiego do szkół, to chodzi mu o nauczanie nie prywatne, lecz urzędowe i obowiązujące, jak to szczegółowo wyluszcza górnoszlązki list «Kraju» z d. 26 grudnia n. st. Smutniej natomiast — i o wiele smutniej brzmi ustęp korespondencji «Now. Ref.» w sprawie komisji kolonizacyjnej. Robota w niej wre i kipi po dawnemu, i po dawnemu nie brak ludzi «z imieniem» i «stanowiskiem», dobijających się o zyskowną łaskę wywłaszczenia. Przytem wszelkie pogłoski o tem, jakoby do zakupu nabytych przez komisję włości, dopuszczeni być mieli także i włościanie polscy, okazały się fałszywymi. «Jeżeli zaś do tego dodamy — pisze autor — szereg dawniejszych, zastarzałych grzechów naszych, jak, rujnującą wiele jednostek namiętność gry giełdowej i innych gier hazardownych, brak oszczędności w codziennym trybie życia, nieustająca nigdy chęć zabaw i bezmyślne trwonienie fortun, to łatwo pojmujemy, dlaczego troska o przyszłość, coraz bardziej zasępie nam czoło... Ciężka, długa, a nader dotkliwa i bolesna litanja ułomności naszych narodowych, powtarza się wprawdzie z nieubłagającym uporem z roku na rok, ale fakt konkretny, jaki autor korespondencji



przycacza o młodzieży naszej kresowej, znamionuje nową już całkiem cechą upadku. Utrzymuje on, że dziatwa polska zaczyna widomie kaleczyć i pać mowę rodzinną i że nawet pieśń ojczysta przestaje ich ożywiać. Usunięto tę pieśń ze szkoły—powiada sprawozdawca wielkopolski—i zastąpiono ją «liedami» niemieckimi. Serce przechodnia się ściska, łzy mu się cisną z oczu, gdy słyszy dziatwę polską wyśpiewującą po ulicach: «Heil dir im Siegeskrans», «Die Wacht am Rhein», «Deutschland, Deutschland über alles», i t. d... Pozostawiamy na odpowiedzialności korespondenta «Nowej Reformy» powyższe, bardzo i prawdopodobnie zbyt pesymistyczne lamenty, ale zaznaczyć ich musieliśmy choćby dlatego, żeby prasy polskiej nie posądzono, że na stosunki prusko-polskie patrzy tylko przez różowe okulary.

Od kilku miesięcy z ust do ust powtarzana jest pogłoska, że rok przyszły, 1892, obchodzony *być ma* (!) powszechną żałobą, z powodu pewnych reminiscencyj historycznych. Kto zdecydował, że tak «być ma», tego nikt nie wie. Jeden z poważnych dzienników galicyjskich przypuszcza, że na myśl tę wpadli, «albo bardzo młodzi chłopcy, albo bardzo stare panny». Przypuszczenie to uzasadnia pomieszczenie dat historycznych, jakiego się inicjatorowie «żałoby» dopuścili, nie zdążywszy jeszcze przeczytać odpowiedniego podręcznika historycznego, lub zapomniawszy, że go kiedyś czytały. Protest przeciwko temu, na gruncie ignorancji zrodzonemu, obchodowi, nie my wszakże tylko zanosimy. Sukurs przyszedł z tej strony, z której go się najmniej spodziewaliśmy: ze strony zagranicznej prasy polskiej. Wszystkie dzienniki galicyjskie i poznańskie (nie wyłączając skrajno-narodowych), wystąpiły z energicznym potępieniem agitacji «żałobowej», a komitet obywatelski z Woj. Dzierżyckim, Tad. Romanowiczem i Mochnackim na czele, wydał odezwę z oświadczeniem, że wszelkie usiłowania społeczne zwrócić obecnie należy w zupełnie inną stronę. Protest prasy zagranicznej witamy z wielkim zadowoleniem, jako pierwszy bodaj objaw solidarnej akcji przeciw bezimiennym uroszczeniom do narzucania społeczeństwu swojej woli i kierunków działania. O pobudkach, które skłoniły dzienniki galicyjskie i poznańskie do tego nieoczekiwanego wystąpienia, pomówimy w następnym N-rze «Kraju».

W liście z Berlina do «Hamburg. Nachr.» zaznaczoną została zmiana w ogólnej polityce Niemiec. Wiara w bezwzględność słuszności Niemców we wszystkich sprawach znikła. «Godną uwagi jest ta okoliczność, piszą z tego powodu «Mosk. Wied.», że traktaty handlowe rozpatrywano nie z ekonomicznego, lecz z politycznego punktu, a ich przyjęcie było już zdecydowane wówczas, gdy nikt jeszcze treści ich nie znał. Z punktu ekonomicznego nie nie usprawiedliwiali ich przyjęcia. Tem więcej znaczenia należało przydać względem politycznym, ażeby usprawiedliwić to wieszanie się

na szyję Austrii i Włochom. Jest to taki sam dowód miłości, jak ugoda z Anglią w kwestiach afrykańskich». «Po upływie terminu, przymierza z Austrią, piszą «Hamb. Nachr.», ta ostatnia znievoli nas do pomagania jej w jej planach na Wschodzie, a jest to tem bardziej prawdopodobne, że gotowi jesteśmy przepaść ekonomiczną, oddzielającą nas od Rosji, jeszcze bardziej rozszerzyć, a w dodatku przy okolicznościach wyraźnie wskazujących na to, że rząd żadnej nie przywiązuje wagi do lepszych z Rosją stosunków».

### Przegląd prasy.

Omawiając w obszernym artykule artykuł nasz «Prusy i polacy», pisze w końcu «Russkaja Myśl»:

«Z tego powodu musimy wyznać naszemu szanownemu koledze, że prasa powinna działać nie tylko na wzór straży ogniowej. Na ruską prasę przypadło szlachetne i nie łatwe, dla wielu przyczyn, zadanie rozbudzania w społeczeństwie ruskim poczucia sprawiedliwości politycznej, usuwania nieporozumień, zagładzania ukłóć narodowej miłości własnej i leczenia ran, zadanych bratnią ręką bratniemu narodowi. Ten święty obowiązek, w miarę możliwości i sił naszych, spełnialiśmy dotąd i spełniać go zawsze będziemy i w przyszłości, w przeświadczeniu głębokim, że interesy ruskiego i polskiego narodu mogą i powinny być pogodzone».

«Swiet» petersburski zamieścił obszerny artykuł wstępny, o którego doniosłości i ważności sądzić można z jego początku:

«Jednym z mółów północno-zachodniej i południowo-zachodniej części Rosji jest *czynsz, czyli tak zwane prawo serwitutowe*».

«Kijewlanin» zwraca uwagę autora tego artykułu, że zmierzał dwie rzeczy, żadnego nie mające związku. Rozwinięcie tej «idei zasadniczej» w «Swietie», daje możliwość autorowi namalowania obrazu pełnego grozy, ale niestety, fantastycznego.

«Rezultaty serwitutu, czyli prawa czynszowego—woła «Swiet»—rezultaty, sprowadzające niedzę i ruinę gospodarczemu pierwiastkowi».

Kto tego przyczyną? Na to pytanie omawiany artykuł odpowiada:

«Obywatele ziemscy. Wielu z nich, uważając się za Zyguntów lub Jagiellonów (!), rozdają na pamiątkę polskich statutów grunty czynszowe miasteczkom i osadom. Ztąd pochodzi zwiększenie się spornych kwestyj. Niektóre trwają lat dziesiątki, przezywając nawet zmiany w stosunkach rodzinnych. Nowe pokolenia, zawarły ugody dobrowolną, znów wzmacniają dawny bieg fikcyjnego władania ziemią, obchodząc ustanowione przez państwo prawa».

Czytając takie artykuły—pisze «Kijewlanin»—niewiadomo co podziwiać: czy brak znajomości rzeczy ich autorów, w sprawach dotyczących najważniejszych kwestyj naszego życia wewnętrznego, kwestyj, mających w dodatku swoją literaturę, czy też ich nonszalancję czysto kawalerską, z jaką tę nieznajomość pod pokrywką autorytetu podają czytelnikom.

«Jako organ, roszcący pretensję do kierowania opinią publiczną, «Swiet» powinienby wiedzieć, że prawo czynszowe, to prawo czynszowe, a serwitutowe—to serwitutowe, że dwie te rzeczy istnieją niezależnie jedna od drugiej, że żydzi mają prawo zamieszkiwania w miasteczkach, i że wynaleziona przez «Swiet» dynastia Zyguntów nie tu nie ma do roboty. Nakoniec, jeśli publicyści, popisujący się w «Swietie», nie mają najmniejszego wyobrażenia ani o prawie czynszowym, ani o serwitutach, to czyż i o tem nie słyszeli, że przed kilku laty wydano specjalne prawo o władaniu czynszowem, i że obecnie właśnie na mocy tego prawa ma miejsce wykup gruntów czynszowych?»

### WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

× «Praw. Wiest» zamieszcza komunikat urzędowy, w którym uprzedza, że dotąd wszystkie przez gazety podawane wiadomości o spadkach po zmarłych w Anglii poddanych ruskich, oka-

zały się bezpodstawnymi. Departament stosunków wewn. ministerstwa spraw zagranicznych podaje z tego powodu, że te tylko wiadomości o spadkach są prawdziwe, które pochodzą od wyższego sądu królewskiego, lub adwokata rządowego angielskiego ministerstwa finansów, oraz że, chcąc dość spadku, albo nawet otrzymać o nim wiadomości, należy podać wszystkie szczególności, dotyczące zmarłego i drogę, jaką spadek odebrać można. Tylko w tym razie ministerstwo spraw zagranicznych i jego agenci mogą okazać pomoc poszukującemu spadku.

× W senacie rządzącym. Mianowanymi gubernator samarski, radca tajny, Swierdziejew—senatorem.

### KRONIKA PETERSBURSKA.

= Sensacyjna sprawa o «makę». Przez cały tydzień ubiegły opinia publiczna i prasa petersburska zajmowały się kwestją zepsutej mąki, zakupionej z polecenia magistratu miasta Petersburga (*uprawa*) w Libawie. Faktyczny przebieg tej sprawy jest następujący: Przewidując w zimie niepomierny wzrost cen na mąkę, rada miejska poleciła magistratowi, ażeby zakupił za 700 tys. mąki żytniej, celem stopniowej jej wyprzedaży w ciągu zimy za cenę względnie niską i niedopuszczenia w ten sposób ciężkiej dla ludności stołecznej drożyzny chleba. Magistrat delegował ze swego składu kilku członków dla dokonania tej operacji, którzy powierzyli ją znów niejakiemu Puchhardtowi. Mąkę kupiono w Libawie i sprowadzono do Petersburga, wypłaciwszy przed odbiorem towaru przeszło 500 tys. rubli, przytem za mąkę w Libawie zapłacono *loco* po 14 rubli za kul, podczas gdy w Petersburgu, na miejscowej przystani zbożowej, można ją było nabyć za rs. 13. Kiedy mąka przybyła, po mieście zaczęły obiegać pogłoski o jej niskim gatunku i sfałszowaniu, rada miejska wszakże odłożyła wyjaśnienie tej kwestji na 2 tygodnie. Wówczas redakcja «Now. Wrem.» na własną rękę wydosłała 1/2 funta tej mąki i przesała takową do chemicznego laboratorium Peela. Analiza wypadła jak najgorzej dla magistrackiej mąki i wykazała w niej znaczne domieszki kąkolki, sporyszu i więcej niż normalny odsetek piasku. Rezultaty tej analizy «Now. Wr.» ogłosiło drukiem, a naówczas władza policyjna opieczętowała sprowadzone wagony, przekazawszy mąkę do zbadania urzędowej komisji zbożowej, która wydała o niej również nieprzychylną opinię. Wywołało to na posiedzeniach rady miejskiej wielką burzę, zakończoną dość umiarkowane wybraniem specjalnej komisji, mającej rzecz zbadać. Jakkolwiek dużo zapewne jest przesady w oskarżeniach o nadużycia w całej tej sprawie, wszakże sama możliwość takich nadużyć w zarządzie miejskim stolicy, jest charakterystycznym objawem.

= Pobyt Andriollego. W uzupełnieniu notatki, zamieszczonej w N-rze 50 «Kraju», przycaczamy następującą wiadomość z «Gazety Warsz.»: p. Andriolli przyjął uczynioną mu propozycję wystawienia w salonach akademii sztuk pięknych wszystkich prac swoich. Wystawa ta, z powodu potrzeby zgromadzenia dzieł Andriollego, rozrzuconych w różnych miejscowościach, przyjdzie do skutku dopiero za kilka tygodni. Wydawca petersburski, Marka, jest w trakcie układów z Andriollem, o ozdobne wydanie arcydzieła ruskiej literatury: «Bohater naszej epoki», Lermontowa. W razie dojścia układów do skutku, Andriolli zamieszka na pół roku w Petersburgu.

= Zofja Poznańska, zakończywszy z wielkim powodzeniem szereg koncertów w Petersburgu, udała się w tych dniach na paromiesięczną artystyczną wędrowkę i ma wystąpić w Berlinie, Lipsku, Wiedniu i Paryżu.

= Zmiana posłów. Posel angielski przy dworze belgijskim, jak donoszą z Londynu, lord *Wiswian* został mianowany na stanowisko posła angielskiego w Petersburgu, a sir *Morier*, dotychczasowy posel angielski przy dworze ruskim, przeniesiony zostaje do Rzymu.

= Teatr polski. Z czterech przedstawień ubiegłego tygodnia, jedno tylko zdołało większą ilość widzów zgromadzić, pomimo to, że w trzech przyjmował udział p. Leszczyński,

mający odegrać rolę magnesu, ścigającego publiczność do teatru. Na «Mazepie» i «Otelu», z których pierwszy grany był drugi, a ostatni trzeci raz, teatr świecił pustkami. Nawet na głosną od lat wielu «Dalilę» Feuilleta, którą p. Leszczyński wystawił na swój benefit, zjawiała się szczupła garstka widzów. Lwią część winy pewnego zobojętnienia publiczności dla benefisanta, ten ostatni sobie przypisać powinien. P. Leszczyński bowiem wogóle nieco po macoszem traktował rolę, zbyt często i zbyt... głośno konferując z suflerem. W sali teatralnej skarżono się, i słusznie, na to, że zanadto często p. L. rolę nie umie. Artysta, posiadający tak świetne warunki sceniczne, taką przytem rutynę i doświadczenie, powinien by inaczej traktować sztukę i publiczność, która przyjęła go gorącymi i życzliwymi oklaskami, a na benefisie bardzo chłodno się zachowywała, dając tem, do poznania gościowi, że byle jak odegranej roli, nawet pamięcią aktora nie objętej, podziwiać nie myśli. W całości «Dalila», dzięki staranności naszych artystów, nawet przy braku dekoracji, wypadła wcale dobrze. Pani Czarli, w tytułowej roli, grała bardzo dobrze, a dopomagał jej dzielnie p. Kopczewski w roli Rosweina. Sartorjusa i Martę, jak zwykle, z talentem odegrali panna Moraka i p. Popławski. Gdyby Carnioli był wiedział co ma robić na scenie ze swoją osobą, mógłby być doskonałym. Ale talent nie uprawiany pracą, świecił tylko chwilami... Bez żalu też, bardzo licznie na ostatniem przedstawieniu zgromadzona publiczność, dowiedziała się, że z powodu nagłego wyjazdu p. Leszczyńskiego, który o tem nawet dyrekcji teatru nie zawiadomił, rolę księcia Radziwiła, w anegdocie historycznej Kraszewskiego «Panie Kochanku», odegra p. Kamiński. Utalentowany, pracowity i nadzwyczaj sumienny artysta ten, w ciągu jednego dnia przygotował rolę trudną i dużo wymagającą pracy. P. K. święcił prawdziwy tryumf artystyczny na tem przedstawieniu. Głośnemi powitany oklaskami p. K., grał nadspodziewanie dobrze, a pewne braki, pochodzące ze zbytniego pośpiechu w ryczałtowem odrobieniu roli, z pewnością znikną na następnem przedstawieniu... Tegoż wieczora, odegrana bardzo składnie wesoła komedycja Fredry-syna, pod tytułem «Consilium facultatis», bardzo się podobala publiczności. Grę p. Siedleckiego, w roli głównej, oklaskiwano szczerze. Nadmienić muszę, że «Panie Kochanku» w całości grano zupełnie dobrze, a chyba nie potrzebuję wymieniać pp.: Morskiej, Rolanda, Popławskiego i in., skoro nawet drugorzędne siły naszej sceny z zadania wywiązały się zupełnie zadawalniająco. *Zoił.*

## KRONIKA WARSZAWSKA.

+ Restauracja Łazienek. Z Warszawy donoszą drogą telegraficzną do paryzkiego «Figara», że komisja, złożona z urzędników administracji dobrami cesarskimi, zbadała dawny pałac królewski w Łazienkach, który ma być odrestaurowany. Wszelkie roboty restauracyjne mają być ukończone w ciągu r. p. 1892. Skarb państwa ma w tym celu wyasygnować 400,000 rs.

+ Pogrzeb Włodz. Stebelskiego odbył się w niedzielę. Konduktowi przewodniczyła liczna publiczność i wszyscy prawie koledzy po piórze. Trumna zarzuconą była wieńcami, pomiędzy którymi parę nadesłano ze Lwowa. Zwłoki pogrzebano podług jednych za cmentarzem w Brudnie, gdyż, jako samobójcy, odmówiono pogrzebu chrześcijańskiego, podług zaś drugich — na cmentarzu prawosławnym; ponieważ Stebelski należał do obrządku grecko-unickiego, a nie rzymsko-katolickiego.

## ROZMAITOŚCI.

↓ Jeden z ostatnich artykułów wstępnych zacytował «Czas» następująco, bardzo trafną i słuszną uwagę: «Niedawno temu, jeden z poważniejszych dzienników paryzkich wydrukował charakterystyczną depeszę, przesłaną mu rzekomo z Bu-

karesztu: «Spory wśród rumuńskiego domu królewskiego — donosił szczególniejszy telegram — przybierają coraz ostrzejszy charakter, a ponownie zwiększyły się jeszcze bardziej, skutkiem tego, że prezydent ministrów Stambolow staje po stronie króla Milana, co naturalnie do żywego poruszać musi stronników królowej Natalji». Klasyczny ten przykład przysłowiowej ignorancji francuskiej należy niewątpliwie do najjaskrawszych; podobnych jednak, zapewne nieco mniej rażących, znajduje się mnóstwo w prasie francuskiej, jeżeli tylko traktuje kwestje polityczne, rozgrywane się daleko od granic Francji.

↓ O mogile Mazepy podaje gazeta «Jużanin» ciekawe wiadomości, których udzielił jej jeden ze znanych turystów. W kościele Najświętszej Panny w Galacu nikt o niej nie wiedział, ale turyście, pomimo to, udało się ją wynaleźć. W towarzystwie miejscowego proboszcza udał się turysta do kościoła; w jednej z bocznych ścian otworzył drzwiczki i po przejściu kilku stopni obaj znaleźli się przed napisem, który niegdyś znajdował się na grobie Mazepy. Napis był do połowy popsuty i wyłamany. Oprowadzający objaśnił, że Piotr Wielki, podczas swej bytności nad Prutem i w Galacu, znalazł ciało swego wroga, wyjął je ze ściany, w której było pochowane, i kazał wrzucić do Dunaju.

↓ P. Narkiewicz-Jodko, znany meteorolog i badacz elektryczności, miał w San-Remo — jak donosi «Minsk. Listok» — odczyty o wpływie atmosfery na organizm człowieka. Pan Narkiewicz, w przejeździe przez Wiedeń, Tryjest, Bolonję i inne miasta, wszędzie miał odczyty, a jego wykładów w uniwersytecie wiedeńskim «słuchano z ogromnem zajęciem».

↓ Dzienniki angielskie i amerykańskie podają codziennie biuletyny o ciężkiej chorobie Modrzejewskiej.

↓ Inżynier kolei władkawkazkiej, p. Erazm Jaszczoldowski, wynalazł system hamulców wagonowych, działających przy pomocy elektryczności. Kontraktem, spisany w Warszawie, wspólnie z przybyłym technikiem firmy Wallers i sp. w Londynie, wynalazca odstąpił prawo eksploataowania hamulców tejże firmie.

↓ Z Berna piszą: «Warszawianka, panna Justyna Salberg, po złożeniu egzaminu, uzyskała w tych dniach dyplom doktorski, fakultetu medycznego, za pracę p. t. «Zersetzung des Hraubensuckers durch die Erysipen-coccon». Pracę tę wykonała p. S. w laboratorium profesora Nenckiego w semestrze ubiegłym.

↓ Sir Whitte, ambasador angielski w Carogrodzie, zmarł na influencję i zapalenie płuc w hotelu Kaiserhof w Berlinie. Zmarły, urodzony i wychowany w Warszawie, długi czas był także konsulem angielskim. Ożenił się z polką panną Kędziarską. Był on szczerym przyjacielem Polaków. Do Berlina przybył już słaby w samą wilją, aby spędzić święta z córką, która w Berlinie mieszka i jest żoną sekretarza poselstwa szwedzkiego bar. Geyera.

↓ Donoszą z Paryża o zgonie ś. p. Aleksandra Chodźki. Zmarły, serdeczny przyjaciel Adama Mickiewicza, skończył życie w dniu 24 b. m. w Juvisy pod Paryżem. Ś. p. Aleksander Chodźko, znany w świecie naukowym badacz i znawca języków wschodnich, był profesorem literatury słowiańskiej w kolegium francuzkiem, gdzie przed nim wykladał ten sam przedmiot nieśmiertelny Mickiewicz. Aleksander Chodźko urodził się w Krzywiczach na Litwie w 1804 r.; uniwersytet kończył w Wilnie. Już w 25 roku życia wydał w Petersburgu tomik swych poetycznych utworów. Z prac naukowych, ogłaszanych po francuzku, ważną jest «Gramatyka języka perskiego». Zmarły był zagranicznym członkiem korespondentem krakowskiej akademii umiejętności.

## KRONIKA POŚMIERTNA.

Biełkowska Marja, lat 84, wdowa po b. nacz. powiatu mławsk. i ob. ziemski gub. płock — w Warsz. 26 grudnia.

Chodźko Aleksander, lat 87, b. profesor literatury słowiańskiej w kolegium francuzkiem, jeden z najserdeczniejszych przyjaciół Mickiewicza — w Juvisy, pod Paryżem, 24 grudnia.

Grabowska Róża, lat 75, ob. niem. pow. czerzyński — w Kijowie.

Jolowicki Adolf, 1. 82, b. of. b. w. p. — w Warszawie 30 grudnia.

Korabiewski Wiktor, 1. 67, inżynier — w Warsz. 30 grudnia.

Krauze Anna, lat 83 — w Warsz. 27 grudnia.

Toniowski Kazimierz, wychowaniec b. szkoły głównej w Warszawie, literat i b. urzędnik sądowy — w Kaliszu.

Kalinowska Wanda, obyw. niem. pow. trocki — w Wilnie 10 listopada.

Mysłowska Emilia, siostra miłosierdzia w instyt. św. Kazimierza w Warszawie. Lat wieku lic. 53, powołania 32.

Nivet Karol, 1. 70, b. urz. rzędu gub. warsz. — w Warsz. 29 grudnia.

Popiel-Sulima, lat 57, dr. prawa, adw., wice-pres. rady pow. — w Strzyżu (w Galicji).

Porębski Antoni, lat 58, b. obyw. ziemski, salohyiciel i pierwszy wydawca «Tygodnika plotkowskiego» i «Roczników» tamskich, ostatnio jeden z głównych współpracowników «Kurjera Porannego».

Rodkiewicz Giedymin, 1. 58, ob. niem. pow. osmiński, wychowaniec b. instyt. salohyck. w Wilnie — tamże 16 października.

Strzechaczowski, 1. 85, emeryt — w Warsz. 29 grudnia.

Szymborski Tadeusz, 1. 76, emeryt, b. urz. rzędu gub. warszawski — w Warszawie

26 grudnia.  
Soklicka Aleksandra, 1. 72, wdowa po pastora — w Warszawie 28 grudnia.  
Woroniec Witold, inż. komunik. rzesznej, rad. stanu — w Wilnie, 16 listopada.  
Wałkowska Magdalena (z

Kraszewskich), 1. 80 — w Kijowie, 21 grudnia.  
Zaremba Józef, 1. 67, właściciel dóbr Pilosyca — 21 grudnia.  
Zuels Ferdynand, lat 70, ob. niem., właśc. dóbr Chrasztów — 23 grudnia.

## P R A W N I K.

↓ Mianowani: prezes sądu okr. w Warszawie Czerniawski — prokur. przy izbie sądowej w Odesie; prezes sądu okr. płockiego Plets — prezesem sądu okr. warszawski; człon. izby sąd. kijowski. Reutski — prezesem sądu okr. w Łucku; podprok. przy izbie sąd. w Warsz. Kowalewski — prezesem sądu okr. w Lublinie; towarzysz prok. nacz. przy krym. dep. kas. rząd. sen. Dobrzyński — członkiem konsultacji przy min. sprawiedl.; prokur. przy sądzie okr. w Kaludze Krubowski — członkiem izby sąd. w Moskwie; wice-prezes sądu okr. warsz. Lents — członkiem izby sąd. w Warszawie; prezes zjazdu pokoj. 1 okr. gub. płockiej Zomnowski — prok. przy sądzie okr. w Łomży; wice-prezes sądu okr. sarapułsk. Kazański — wice-prezesem sądu okr. mohylowski; członek sądu okr. saratowski; człon. izby sąd. w Tyflisie Lesszczyński — członkiem takiejże izby w Petersburgu. Przeniesieni: sędzia pok. okr. witebski. Gierasimow — do okr. dubieński; także sędzia okr. kowieński. Bunakow — na sędzię pok. dod. w tymże okr.; podprok. w Humanii Rudycyn — do Jekaterynostawia. Wydelegowani: prezes zjazdu i rew. sędzia pok. okr. kowieński. Kłopotow — do składu urzędu do spraw czynsz. pow. kowieński. Uwolniony: sędzia śled. pow. kolneński, gub. łomżyński, Nikolski — od powyższych obowiązków, z zaliczeniem do min. sprawiedl.

↓ Znany pisarz Brandes został skazany na dwa miesiące aresztu, za artykuł zamieszczony w gazecie «Kurjer giełdowy». Brandes od wyroku sądu apelował, a wyższa instancja sądowa areszt zastąpiła karą pieniężną, wynoszącą 350 franków.

↓ Senat rządzący w tych dniach rozwiązał bardzo ciekawą kwestję prawną. Niejaki Tumanow podał skargę kasacyjną na tyfliską izbę sądową w ostatnim dniu terminu i bez kaucji. Izba sądowa skargi przyjąć nie chciała. Tę odmowę właśnie zaskarżył Tumanow do senatu, który, jak donoszą «Nowosti», zdecydował: 1) decyzję izby sądowej umorzyć; 2) rozkazać jej przyjąć skargę kasacyjną Tumanowa i wyznaczyć termin przedstawienia kaucji.

↓ Schwytani w St-Etienne szpiegowie angielscy, jak donosi «Now. Wrem.», zostali skazani na więzie: jeden na 15, a drugi na 2 miesiące. Stawieni przed sądem, dwaj ci panowie zapewniali, że bynajmniej nie szło im o zdobycie nowego karabina francuzkiego, lecz o broń ruską, nie można więc ich obwiniać o szpiegowstwo. Świadkowie jednak wręcz temu zaprzeczają.

↓ Z Mitawy donoszą do «Mosk. Wied.», że sąd okręgowy mitawski skazał pastora Sesermanna na surową wymowę za niecierpiącą z powagą jego godności nieostrożność, która w tem wyraz swój znalazła, że pastor Sesermann odprawiał nabożeństwo nad zwłokami prawosławnych. Sąd odbył się przy drzwiach zamkniętych.

## KURJER KOŚCIELNY.

\*\* Piszą nam z Romanowa, gub. wołyńskiej: Korespondencja dziennika «Wołyń», przedrukowana w N-rze 45 «Kraju», o kaplicy katolickiej w miasteczku Romanowie, zawiera wiadomości mylne, które niniejszem prostuję. Z zezwolenia wyższych władz rządowych i duchownych, do których liczne wniesiono prośby od okolicznych mieszkańców, kaplica katolicka w Romanowie odbudowana została, po spaleniu pałacu romanowskiego, przy którym poprzednio się mieściła. Plan kaplicy przez władzę gubernialną został zatwierdzonym. Pozwolenie odbudowania kaplicy udzielonem zostało nietylko właścicielowi majątku, ale wogóle miejscowym mieszkańcom-katolikom, którzy o to prosili i których ofiarnością powstała. Kaplica obecna, co do rozmiarów wewnętrznych, mniejszą jest od tej, która mieściła się przy pałacu romanowskim. Korespondent «Wołyń» widocznie nie pojmuje różnicy, jaka jest między kościołem a kaplicą. Kaplica romanowska zawsze była filją parafjalnego kościoła w Cudnowie, liczącego obecnie parafjan około 7,000 dusz. Sąsiednia z nią parafja, pulińska, ma dwie kaplice filjalne i parafjan zgórą 16,000 dusz. Z kaplicy romanowskiej korzystała zarówno część parafjan pulińskich, jak również i cudnowskich.

Historja o skarbonce, która ma służyć dla zbierania środków materialnych na utrzymanie kapłana i usługi kaplicznej, jest wprost śmieszna. Podobnego rodzaju doniesienie było już podane do władz miejscowych i policja z całą skrupulatnością przeprowadziła śledztwo, które wykazało tylko, że nabożna staruszka z sąsiedniej wioski, od kilkunastu lat, t. j. przed odbudowaniem kaplicy, umieściła skarbonkę pod wizerunkiem Zbawiciela, i za zbierane kopieжки utrzymuje światło przed tym wizerunkiem. Ani miejscowy kapłan ani usługa kapliczna, nie mieli nie wspólnego z owym postawieniem skarbonki i rozporządzeniem się zawartością tejże. Wreszcie, ponieważ kapłan miejscowy nie pobiera żadnego utrzymania od władzy duchownej, więc utrzymanie jego parafjanie wzięli na siebie, czego też i dopietniają. Nakoniec wypada nadmienić, że kaplica filjalna romanowska nie posiadała i nie posiada żadnych przywilejów, któreby ją odróżniały od innych temu podobnych domów Bożych, należących tak do wyznania katolickiego jak też i prawosławnego. H. S.

\*\* Piszą nam z powiatu bobrujskiego: wieść o nominacji biskupa Kozłowskiego i sufragana Simona przyjeźliśmy z wielką radością. Katolicy 4 parafji powiatowych żywią nadzieję, że wakujące parafje zostaną obsadzone przez księży-poboszczów. Dotąd na cały powiat mamy dwóch księży: ks. dziekana O. i ks. wikarego R., zamieszkałych w samym Bobrujsku (parafja piąta). Katolików zaś w powiecie, prócz Bobrujska i miasteczek, jest przeszło 10 tys. Naturalnie, ksiądz-dziekan raz tylko do roku może objechać cztery zamiejskie parafje. Niema wątpliwości, że przystąpienie do wielkocennej spowiedzi w Bobrujskiem wszystkim katolikom — niepodobna dla braku księży. Dzieci do chrztu trzeba wozić o wiorst 40 — 60 do Bobrujska, lub sprowadzać księdza na wieś. Śluby i pogrzeby również pociągają za sobą wielkie trudności. Słowem, lud wiejski zaniedbuje z tej racji obrządku regilijne, co z gubnie wpływa na jego moralność. Obywatelstwo nasze, przeważnie z katolików złożone, dotąd nie poruszyło należycie kwestji kościołów parafjalnych, *de jure* otwartych, a *de facto* zamkniętych. Teraz, po nominacji dwóch ważnych dostojników kościelnych, możemy się spodziewać, że inicjatywa obsadzenia probostw w powiecie bobrujskim znajdzie poparcie w wyższych sferach administracyjnych i duchownych. Mieszkańcy samego Bobrujska też nie mają kościoła, który przed 5 laty spłonął. Kapliczka w plebanji składa się z dwóch maluczkich pokoiów, gdzie zaledwie kilkadziesiąt osób może się z wielką trudnością pomieścić. Szelachka.

\*\* Z Rzymu donoszą do „Journal des Debats”, że papież miał wykląć przeora benedyktynów brazylijskich i odwołać nuncjusza swego w Rio Janeiro, za to, że ci, pomimo wrogich działań rządu dla kościoła, zachowali się wbrew interesom tegoż.

\*\* W Charkowie, jak donosi telegram do „Now. Wrem.”, dnia 15 grudnia r. b. odbyła się uroczystość poświęcenia kościoła katolickiego, zbudowanego wyłącznie kosztem parafjan. Prosimy naszych czytelników w Charkowie o bliższe szczegóły.

\*\* «Osservatore Romano» — jak donoszą z Paryża do «Nowosti» — gani biskupów francuskich, którzy podsycają agitację. Zdaniem «Osservatore», duchowieństwo obowiązane jest słuchać rozporządzeń rządu.

\*\* Czytamy w «Czasie»: Bardzo dobre wrazenie znalazła wiadomość, że kapłanem arcybiskupim w Poznaniu zamianowany został ks. Bolesław Żychliński, syn jednego z możniejszych domów wielkopolskich. Niepewność panuje jeszcze co do obsadzenia ważnej posady oficjalnej. Niewykluczone jest możność, że w tym właśnie punkcie życzenia gorętsze doznają zawodu.

### KURJER SZKOLNY.

\*\* Ministerstwo oświaty — jak się dowiaduje «Now. Wr.» — ma zamiar otworzyć nowe gimnazjum w Brześciu-Litewskim.

\*\* Na posiedzeniu akademji wojenno-medycznej w Petersburgu zatwierdzeni zostali w stopniu doktorów medycyny lekarze: Bartoszewicz i Sawicki.

\*\* Kółko studentów wydziału przyrodniczego uniwersytetu wiedeńskiego, jak donosi «Kijewlanin», chcąc poznać wymierający gatunek żubrów, w tych dniach wyruszyło, pod wodzą jednego z profesorów, do puszczy białowieskiej, która, jak wiadomo, posiada jeszcze kilkanaście egzemplarzy tego rzadkiego zwierza.

\*\* Rusińskie towarzystwo studenckie w Bukowinie, jak donosi «Now. Wr.», zaprosiło wszystkie stowarzyszenia studenckie słowiańskie, za wyjątkiem tylko polskiego stowa-

rzyszenia «Ognisko», do udziału we wszechsłowiańskiej uroczystości słowiańskiej, z której czysty dochód ma być przeznaczony na rzecz rosyjjan głodem zagrożonych.

\*\* Doktor praw, pani Emilja Kempin, powołana została na katedrę obcych prawodawstw w uniwersytecie w Zürichu.

### KOLEJNIK.

\*\* Przed tygodniem, jak donosi «Now. Wr.», przedstawiono ministerstwu komunikacji projekt poszukiwań już ukończonych na przestrzeni 1,200 wiorat drogi żel. syberyjskiej. Oto jest kierunek zamierzonej drogi: od Czelabińska na Kurhan, dalej do Petropawłowska, do Omska, do Kairńska, a następnie, omijając jezioro Czany, do Koływanina.

\*\* Budowa wazkotorowej drogi żel. między Berdyczowem a Żytomierzem — jak donoszą «Piet. Wied.» — odłożoną została na czas nieograniczony, z tego powodu, że skarb państwa nie może obecnie asygnować pieniędzy na budowę podrzędnych dr. żel.

### DONIESIENIA.

**KALINOWSKI I PRZEPIORKOWSKI**  
WARSZAWA.

(Hotel Europejski).

POLECAJĄ:

wielki wybór **Cygar** Importowanych na różne ceny, **Tytunie** i **Papierosy** własnej fabryki pod firmą «Noblesse», oraz wszelkie wyroby tabaczne wszystkich znaczniejszych fabryk.

MAGAZYN GALANTERYJNY

**GOLIŃSKIEJ**

Gmach Teatru, Warszawa.

### PRZESILENIE.

PRZESILENIE W WARSZAWIE.

Jak wielki jest obecnie zastój w handlu i przemyśle warszawskim, świadczy najlepiej zmniejszenie wywozu towarów za frachtem pośpiesznym kolejami miejscowymi. Dla przykładu notujemy ruch wywozowy na stacji Warszawa — nadwiślańska, w ciągu ostatniego pięciolecia. I tak: w r. 1887 ekspedjowano dziennie przeciętno po 800 pudów towarów pośpiesznych; w r. 1888 po 730 pud.; w r. 1889 po 540 pud.; w r. z. po 360, zaś w r. b. wysłała stacja dziennie zaledwie po 110 pudów. Mniej więcej w tym samym stosunku zmniejszył się wywóz i na innych kolejach. «Także sam rezultat rachunkowy, pisze «Kur. Codz.», otrzymuje większość kupców i przemysłowców tutejszych w obrotach handlowych». Czy to ostatnie zdanie nie jest za nadto przesadzonem.

WYWOZ ZBOŻA.

«Warszawskij Dniownik» zamieścił następującą, nadesłaną mu z Petersburga informację: «Z powodu zakazu wywozu wszelkich zbóż, wynikły wątpliwości, które, jakieśmy się dowiedzieli z pewnego źródła, będą rozstrzygnięte w sposób następujący: Zboża i produkty zbożowe, których wywóz jest zakazany, 1) Zboża w ziarnie: żyto, pszenica, owies, jęczmień, tatarska, proso, orkisz, kukurydza wszelkich gatunków, sorgo, gomi, dżugarna, ryż; 2) Wyrobione z tych zbóż: mąka i kasza, pod wszelkimi nazwami znajdujące się w handlu;

3) Otręby i poślad; 4) Słód w całości i rozdrobniony; 5) Kartofle i mąka kartoflana. Ziarna i produkta, których wywóz jest dozwolony: 1) Nasiona roślin strączkowych: groch, fasola, bób, soczewica, groszek; 2) Nasiona oleiste: lnu, rzepaku, rzepiku, gorczycy, maku, konopi, słonecznika, rzodkwi chińskiej, bawełny, kundzutu; 3) Wytłoczyny: makuchy (konopne i kokosowe); 4) Mąka z powyższych produktów, których wywóz jest dozwolony; 5) Nasiona traw pastewnych: nasiona ogrodowe, sadowe, kwiatowe i drzewne; 6) Odpadki: plewy, lupiny, główki makowe, głąby słonecznika i kukurydzy i t. d.»

### EMIGRACJA DO SYBERJI.

Piszą nam z Tomska: Nieurodzaj, a za nim i głód w znacznej części Rosji europejskiej, bardzo silnie oddziałali na ruch emigracyjny do Syberji. Widocznym jest, że wskutek klęski, jakiej doznały środkowe gubernie Cesarstwa, tamtejsze władze nie mogły się ściśle stosować do ostatnich przepisów, dotyczących się wychodźstwa, dlatego też prąd emigracyjny do Syberji, potężnie wzmożł się w tym roku. Przez Tiumeń przejechało przeszło 40,000 wychodźców, czyli o 10,000 ludzi więcej, aniżeli w przeszłym 1890 r. Było to zupełnie nieprzewidziane w Syberji, a emigranci znaleźli się w bardzo ciężkim położeniu, bo nie mogli osiadać ani w tobolskiej gub., ani w znacznej części stepowego jenerał-gubernatorstwa. Przyczyną tego był również niespodziany nieurodzaj we wskazanej części zach. Syberji. W całej tej okolicy do połowy lata zboża i trawy zapowiadały obfity plon, ale później, niezwykła susza wszystko prawie wypaliła, a to co zostało na pniu, zjadły różne szkodliwe dla zbóż owady, głównie zaś, tak zwana kobylka (rodzaj szarańczy), która się rozmnożyła w nadzwyczajnej ilości. Tym sposobem część zach. Syberji, granicząca z Rosją europejską, została zupełnie pozbawiona tegorocznego plonu, a tem samem przybywający zgłodzeni wychodźcy nie mogąc się tam osiedlać, musieli ciągnąć w głąb kraju, nie zatrzymując się bliżej, niż w tomskiej gub., która ich wszystkich przyjąć nie mogła. Wszystko to było bardzo przykrą dla Syberji niespodzianką. Z jednej strony trzeba pomagać masie stałych tutejszych mieszkańców, dotkniętych nieurodzajem, z drugiej, przybyło 40,000 ludzi, którzy liczą na syberyjski chleb i gwałtownie go potrzebują. Nie będą powtarzać szczegółów o niewypowiedzianej nędzy, jaką znowu widzimy między nowo-przybywającymi, dodam tylko, że w tym roku większą jest ona niż kiedykolwiek, chociaż wywołał ją wyjątkowy zbieg niepomyślnych okoliczności. Trzeba jednak przyznać, że i tym razem dużo są winni sami wychodźcy, którzy nierozważnie przedsięwzięli daleką podróż, nie wiedząc, co ich może spotkać w nieznanym kraju. A. S.

× P. Bechtiejew bardzo wiele napisał — czytamy w «dzienniku» ks. Mieszczerskiego — całe cztery artykuły, ażeby wypowiedzieć tę prostą i, zdaje się, przez wszystkich za prawdę uznaną myśl, że kapitał żywnościowy lepiej by było zużyć na składy zboża, i że podatki włościańskie lepiej by było pobierać w zbożu, aniżeli w pieniądzach, ściągając to zboże wtedy, gdy jest ono tanie, w jesieni, a sprzedając na wiosnę, gdy jest drogie. Ale o co głównie idzie: urządzenie takich lub innych składów i magazynów — rzecz to niezbyt trudna; jeśli rząd poweźmie to samo przekonanie, co wszyscy mieszkańcy wsi — to w takim razie zmieni, zgodnie z potrzebą, prawo, dotyczące zapewnienia pożywienia ludności i urzędowi — stni myśl urzędzenia magazynów najpraktyczniej... Główna jednak kwestja pozostanie pomimo to otwartą, a jest nią położenie ruskiego włościanina...

× W ciągu trzech dni, od 13 do 16 grudnia, złożono do rozporządzenia specjalnego komitetu pod prezydencją J. C. W. Następcy tronu ofiar na głodnych, ogółem 24,411 rs. kop. 13. W tej cyfrze, między innymi, mieszczą się ofiary hr. Branickiego 5,000 rs., rumuńskiego poddanego Stefana Werona z Brallo-

wa—3,906 rs., rady kościelnej niemiecko-ewangelickiej parafji—1,200 rs., fińskiego Towarzystwa dobroczynności w Petersburgu—150 rs. i t. p. Na 20 b. m. wpływ do kasy komitetu stanowią 291,160 rs. 24 k.

× «Nowor. Telegr.» czyni uwagę, że od czasu, gdy ogłoszono zapisy na bilety loteryjne, na rzecz dotkniętych nieurodzajem, publiczność znacznie ochłodła i coraz skąpsze składa na ich rzecz ofiary. «Ofiary, jakkolwiek nie wielkie, ale liczne—pisze wzmiankowana gazeta—które przedtem napływały obficie ze wszystkich stron bądź do «Czerwonego Krzyża», bądź do redakcyj rozmaitych pism, bądź do kancelarji naczelnika miasta, poczęły się zmniejszać i, nareszcie, zupełnie ustały.

× Z rozporządzenia p. ministra spraw wewnętrznych, jak donoszą «Birżew. Wied.», dyrektor centralnego komitetu statystycznego r. t. Trojnickij udaje się do gub. Wiatskiej ze specjalnymi instrukcjami w sprawie zorganizowania pomocy potrzebującym takowej z powodu nieurodzaju. W tym samym celu udaje się do gub. Kazańskiej szambelan dworu, pan Nieczajew-Malcew, w towarzystwie kilku oficerów gwardji, w charakterze pomocników. Pan Nieczajew-Malcew zobowiązał się własnym sumptem zaopatrzyć w żywność sześć włości gub. Kazańskiej. Zamiar wydelegowania 6 urzędników do gub. Tobolskiej, jak się dowiadują «Birż. Wied.», został zaniechany; natomiast gubernator miejscowy rozesłał w tym samym celu kilku oficerów miejscowego garnizonu.

× Pewien młynarz w Minneapolis w Ameryce, jak donosi «Rus. Żiźń», ofiarował na rzecz głodujących w Rosji 13 wagonów mąki. Ruskim konsul generalny w New-Yorku zwrócił się z pytaniem do rządu, czy ma przyjąć ofiarę i otrzymał odpowiedź twierdzącą.

## EKONOMISTA.

### KOMITETY ZBOŻOWE.

«Pomimo wprowadzenia klasyfikacji zbóż w naszych portach, które powinno wpłynąć na ulepszenie gatunków zbóż naszych, czytamy w «Mosk. Wied.», p. Kozłowski uważa ustanowienie obowiązkowej klasyfikacji, do wywożonych zbóż zagranicę, za przedwczesne, szczególnie dla pszenicy. Dotąd nie posiadamy jeszcze zupełnie pewnych wiadomości co do sortowania i ocen naszej pszenicy na głównych rynkach zagranicznych, o procentowym stosunku przymieszek i wilgoci. Nie sposób przytem z drobnych partyj, które skupujący zboże przygotowują dla eksporterów, utworzyć jednorodnych ładunków dla parostatku. Taka klasyfikacja możliwa jest tylko dla partyj, jakie dostarczają wielcy właściciele ziemi. Mając to na względzie, obecnie najważniejszą jest rzeczą: dalsze opracowanie projektów klasyfikacji zbóż przy współudziale nabywców zagranicznych na główniejszych rynkach obcych i, z tym razem, staranie się u nas o takie środki, które, zdaniem komitetów giełdowych i kupców zbożowych miejscowości, które zwiędził p. Kozłowski, natychmiast wpłyną korzystnie na ulepszenie naszych towarów zbożowych i na wprowadzenie porządku do handlu temi towarami na naszych rynkach wewnętrznych. Najgłówniejszym z tych środków obecnie byłoby natychmiastowe utworzenie specjalnych komitetów zbożowych i komisji arbitrażnych we wszystkich główniejszych punktach handlowych Cesarstwa. Do składu komitetów zbożowych, portowych i gubernjalnych, mogłoby wejść, ze strony ministerstwa finansów i inspektor podatkowy lub zarządzający oddziałem banku państwa, albo zarządzający komorą, ze strony ministerstwa spraw wewnętrznych—policmajster, ze strony miasta—głowa miasta, ze strony ziemstwa—prezes i członek zarządu wiejskiego, ze strony kupców—wybrani kupcy zbożowi, nakoniec, przedstawiciele dróg żelaznych i towarzystw żeglugi, oraz inspektor zbożowy, którego powinien wybierać komitet zbożowy, a zatwierdzać ministerstwo finansów. W powiatach komitety zbożowe składałyby się mogły ze sprawnika lub komisarsza stanowego, z inspektora podatkowego, z dwóch przedstawicieli od oby-

wateli ziemskich, z dwóch przedstawicieli od kupców zbożowych, z przedstawiciela miasta lub miasteczka i z inspektora zbożowego. Wyższy nadzór nad działalnością prowincjonalnych komitetów zbożowych możnaby poruczyć petersburskiemu komitetowi, mającemu pieczę nad sortowaniem zbóż».

### STATYSTYKA.

Słabe strony statystyki rolniczej są powszechnie uznane, ale dopiero ostatnie przesilenie wykazało, jak dalece szkodliwym jest ten brak pewnych źródeł i jak on utrudnia wszelką akcję pomocniczą. W tej myśli, znany statystyk wydawnictw urzędowych, pan Blau wystąpił w Tow. wolno-ekonomicznem z projektem reorganizacji statystyki rolniczej, sprowadzającym się w zasadzie do urządzenia kontroli nad pisarzami gminnymi, z natury rzeczy powołanymi do zgromadzenia odnośnych materiałów statystycznych. Kontrolę taką sprawować powinni specjaliści delegaci powiatowi (z miejscowych ziemian), tudzież Towarzystwa rolnicze, zadaniem delegatów byłoby wyjaśnianie pisarzom szematów i kwestjonariuszy, sprawdzanie odpowiedzi i cyfr i t. p. Pisarze, za swą pracę, powinni pobierać specjalne wynagrodzenie i podlegać karom za niedbalstwo, opieszałość lub świadome fałszowanie cyfr. Towarzystwo przychyliło się do wniosków referenta.

### KRONIKA GIEŁDOWA.

Usposobienie giełdy berlińskiej względem ruskiej waluty, znów się niekorzystnie dla ostatniej zmieniło. Według ostatniej wiadomości z Berlina, płacono tam za 100 rubli zaledwie 197 m., co, w porównaniu z poprzedniego tygodnia kursem, przedstawia różnicę 4 marek. Znajduje to do pewnego stopnia objaśnienie w zawoździe, którego jakoby kapitaliści niemieccy doznać mieli co do zamierzonych przez się operacyj finansowych w Petersburgu. Może wszakże i inne jakie pobudki dyktowały spekulacji zniżkową tendencję. Ostatnie notowania. Giełda petersburska dnia 21 grudnia. *Pożyczki premjowe:* I em. 240, II em. 220; *pożyczki wschodnie:* II em. 102<sup>3</sup>/<sub>4</sub>, III em. 102<sup>3</sup>/<sub>4</sub>. *Akcje banków:* dyskontowego 580, międzynarodowego 480, ruskiego 258<sup>1</sup>/<sub>4</sub>, wileńskiego ziemskiego 592, kijowskiego ziemskiego 800. *Listy zastawne:* wileńskie 6<sup>0</sup>/<sub>100</sub> 102, 5<sup>0</sup>/<sub>100</sub> 99<sup>1</sup>/<sub>4</sub>, kijowskie 6<sup>0</sup>/<sub>100</sub> 102<sup>3</sup>/<sub>4</sub>, 5<sup>0</sup>/<sub>100</sub> 100<sup>1</sup>/<sub>4</sub>, charkowskie 6<sup>0</sup>/<sub>100</sub> 102, 5<sup>0</sup>/<sub>100</sub> 99<sup>3</sup>/<sub>4</sub>, połtawskie 6<sup>0</sup>/<sub>100</sub> 102, 5<sup>0</sup>/<sub>100</sub> 99<sup>1</sup>/<sub>4</sub>, moskiewskie 6<sup>0</sup>/<sub>100</sub> 102, 5<sup>0</sup>/<sub>100</sub> 99<sup>3</sup>/<sub>4</sub>. *Giełda warszawska* dnia 2 stycznia 1892 r. *Listy zastawne ziemskie* serja I lit. A. 101,00; m. Warszawy serja I 102,75, ser. II 102,00, ser. III 101,00. *Akcje banku handlowego* 355. *Monety.* Funt szterling rs. 10 kop. 33, marka 50,78 kop., frank 40,80<sup>1</sup>/<sub>2</sub> kop., gulden 87,75 kop., półimperjal nowego stempla rs. 8 kop. 22, rubel srebrny 119 kop., rubel papierowy 60,90 kop. w złocie.

### Z rynków towarowych.

**ZBOŻE.** Tendencja zniżkowa na rynkach zbożowych zachodniej Europy, notowana od paru tygodni, ustąpiła świeżo przeciwnemu usposobieniu, które jednak wobec święta Bożego Narodzenia, podług nowego kalendarza tam obchodzonych, nie zdołało się utrwalić jeszcze stanowczo. Powodem tego objawu jest zmniejszenie się znaczne dowozów; mrozy, jakie od dni kilkunast panują tam, również odziały w powyższym kierunku. W Stanach Zjednoczonych natomiast nader mały był popyt i ceny zaledwie na poprzednim utrzymały się zdołały poziomie. Na rynkach zagranicznych, według doniesień otrzymanych w Petersburgu dnia 20 grudnia drogą telegraficzną, płacono: w New-Yorku: pszenica 132; w Londynie: pszenica ruska 151—166, amerykańska 145—160, australaska 166—170, indyjska 145—156, niemiecka 166—170, miejscowa 124—168, żyto 150—158, owies 77—95, jęczmień 95—155; w Marsylii: pszenica ruska 152—160, miejscowa 166—168; w Berlinie: pszenica 140—151, żyto 148—169, owies 98—114, jęczmień 118—145; w Królewcu: pszenica 137—140, żyto 142—148.

Rynki krajowe nie uwydatniły szczególnej zmiany, a ceny mało gdzie zmianie uległy. Godną jest zanotowania okoliczność, przez organ mini-

sterstwa skarbu podana, że ostatnio wielkie są stosunkowo dowozy na targi zboża włościańskiego, pod wpływem których miejscami ceny nieco spadły nawet. Tenże organ wspomina, że zboża t. z. ekonomicznego nader mało teraz bywa na targach. Podniesienie się cen miało jedynie miejsce w gub. permskiej, gdzie dowozy były nader małe; nadto permscy negocjanci zbożowi, którzy zakupili w gub. tobolskiej 700 tysięcy pudów zboża, nie przywożą jeszcze takowego, czem niejako presję na ceny wywierają. W Królestwie znaczne partje zboża, nadeszłe z południowych prowincyj Cesarstwa, spowodowały chwieianie się cen, które się ostatecznie ku niższej przechyliły, nowe bowiem transporyt przewyższyły znacznie zapotrzebowanie. Płacono: w Warszawie: pszenicę wyborową 147, żyto wyborowe 134—136, owies wyborowy 91—95, jęczmień wyborowy 95—110. W Rydze: żyto 135, owies 73—87, jęczmień 75—105, siemię lniane (87<sup>1</sup>/<sub>2</sub>%) 148—150, stepowe 154—155. W Libawie: żyto 123—135, siemię lniane 144—145, stepowe 150.

### ODPOWIEDZI REDAKCJI.

*Kram. Ko.* Wobec jednomysłnego potępienia projektów «załoby» przez opinię publiczną w Galicji i Poznańskim—można być pewnym, że agitacja, straciwszy najważniejszą swoją podstawę, spełźnie na niczem.

*O. Racz.* Zakaz urządzania balów «na głodnych»—nie dotyczy widowisk i zabaw urządzanych przez różne instytucje filantropijne, już istniejące, na własne cele. Bal na dochód rz.-katol. Tow. dobr. w Petersburgu odbędzie się 1 lutego roku prz. nieodwołalnie. Bal przynosi dochodu kilka tysięcy rubli. Dochód ten stanowi najważniejszą rubrykę w budżecie dochodu Tow., niedostateczne jego poparcie mogłoby zachwiać istnieniem Tow., które utrzymuje przytułek dla starców, ochronę dla dzieci, kasę pomocy dla uczącej się młodzieży i pomaga biednym i nieszczęśliwym, których liczba wzrasta w przerażającej proporcji.

*W. w Warsz. i T. w W.* Nie zwykliśmy zapowiadać artykułów nabytych i obiecanych, które drukować zamierzamy w r. p. Dla zaspokojenia wszakże pańskiej ciekawości donosimy, że dodatek powieściowy zamierzamy złożyć głównie z prac oryginalnych. Na początek pójda: «Obrazki wiejskie» dr. J. Tchórznickiego, «Talleyrand» studjum Henr. Lisickiego i t. d.

*Ob.* Lord Lytton, zmarły niedawno ambasador angielski, był wielkim przyjacielem polaków. Przed swoim przeniesieniem do Paryża był prezesem Towarzystwa literackiego «Friends of Poland» w Londynie.

*Ig. Chod.* Bolesnie słyszeć o tego rodzaju sądach. Jeżeli pewne frazesy wychodzą z konieczności nie dość jasne, jeżeli ktoś chce «czytać między wierszami», to dlaczego z dwóch sensów wybiera koniecznie—gorszy?

### ZŁOŻONO W NASZEJ REDAKCJI:

*Zamiast powinszowań noworocznych, na rzecz ochronki dla chłopców przy katolickim Towarzystwie dobroczynności:* Ludwik Monkiewicz rs. 5.

*Dla biednych do uznania Redakcji:* dr. Łowicki rs. 10.

### NEKROLOGJA.

† S. p. Hipolit Rakowski. W dniu 15 listopada r. b. przeżywszy lat 67, zmarł w naszym mieście p. Hipolit Rakowski, miejscowy kasjer gubernialny. Przykładny mąż i ojciec, gorliwy urzędnik i człowiek nieposzlakowanej prawości, opłakiwany przez liczną pozostałą po nim rodzinę, szczerze żałowany jest przez wszystkich, którzy mieli z nim urzędowe lub prywatne stosunki. Kto miał sposobność być w jego domu, długo będzie wspominać zacnego staruszkę, zycyliwie, z prawdziwą staropolską gościnnością przyjmującego każdego gościa. Liczny orszak kolegów i znajomych odprowadził zwłoki nieboszczyka na miejsce wiecznego spoczynku. A. S.

Dzisiejszy Nr. „Kraju” zawiera str. 26 (wraz z okładką).

Redaktor: J. B. BARANOWSKI. Drukarnia: P. PILTZ.